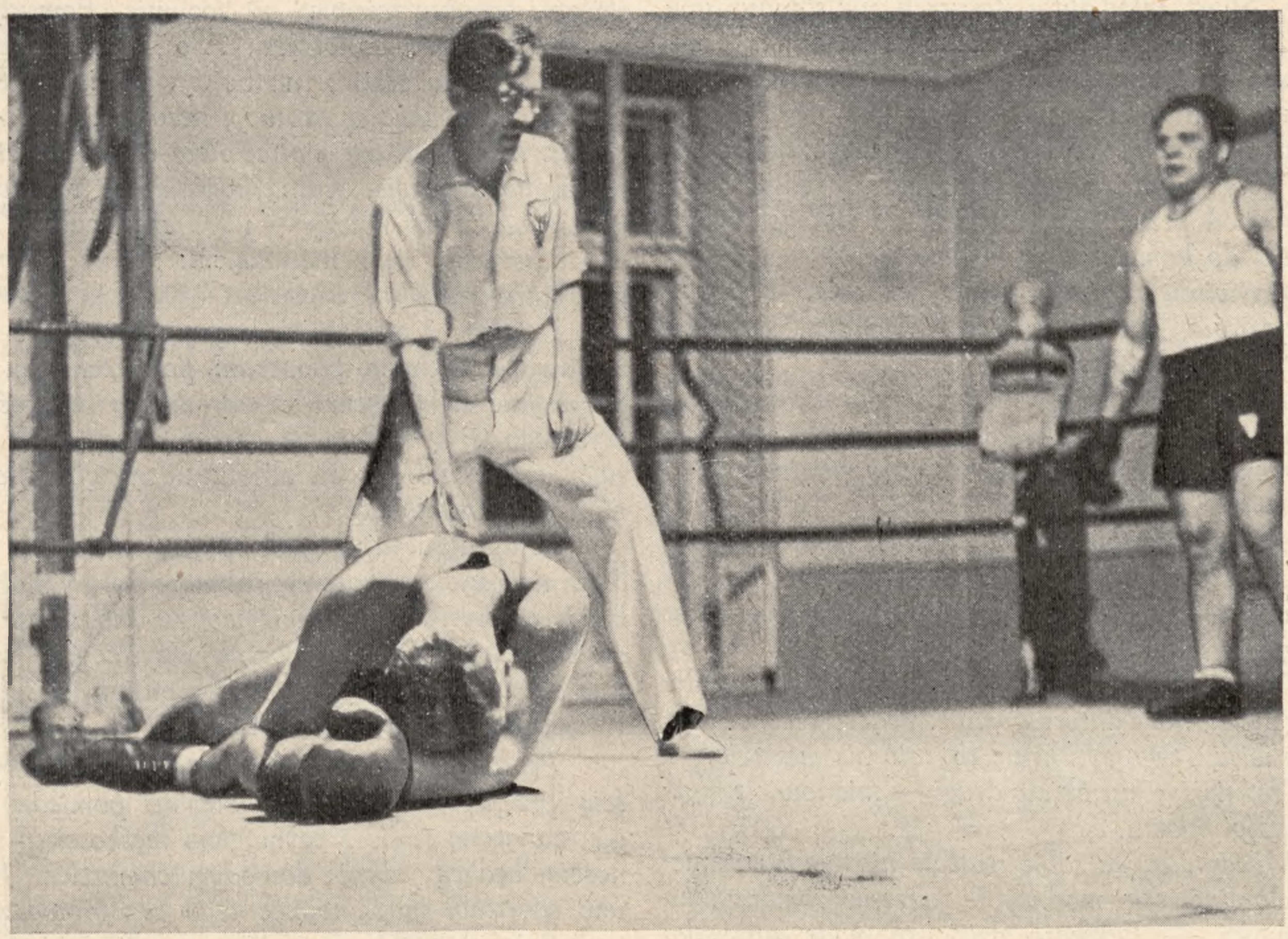
9 XI 38 CENA 25 GR

SPORT POLSKI

ROK II TYGODNIK Nr 45



Sezon bokserski rozpoczął się...

W NUMERZE:



MĘSKOŚĆ A BRUTALNOŚĆ

Brak równowagi jest niestety jedną z cech zasadniczych umysłu ludzkiego. Przesada stanowi na kuli ziemskiej rzecz normalną. Miast drogą rozważnej ewolucji, człowiek chce koniecznie rewolucji, zdeptania tego, co uwielbiał przed chwilą, wywyższania pod niebiosa tego, czym pogardzał.

Ta gwałtowna zwyżka i zniżka nie oszczędza nikogo. Sport, młodziutki staruszek, nie stanowi wyjątku. Przez długie lata uważano go za quantité negligeable, aż wtem uznano, iż stanowi środek powszechny, uniwersalny na wszelkie choroby fizyczne i moralne zarówno jednostki, jak i całego społeczeństwa. Teraz znowu z piedestału „nowej religii" strącono go pod pretekstem, że miast do złotego wieku, prowadzi do kompletnego zbydlęcenia.

Oczywiście, była to i jest przesada. Przesada obserwatorów, zrodzona przez niemniej jaskrawą przesadę samych aktorów.

Powodem ostatniego w dacie zwrotu w opinii jest niewątpliwie zachowanie się samych sportowców, którzy dopuszczają się przesady podwójnej — co do ilości i co do jakości.

Młodzież dzisiejsza niewątpliwie wykazuje często dla ćwiczeń sportowych zapał zbyt wielki, zaniedbując z tego powodu inne dziedziny, inne strony swego „ja".

Ta przesada ilościowa występuje jednak, jak dotąd, rzadziej, niż zainteresowanie niedostateczne. Można by więc z tego tytułu się zbytnio nie martwić.

Groźniejszy jest objaw drugi — mianowicie kwestia jakości sportu.

Wynagradzając sobie stulecie niedołęstwa, zniewieściałości i tak modnej w okresie romantyzmu cherlawości — ludzkość dzisiejsza nade wszystko ceni męskość i hart.

Ma rację. Przestaje jednak mieć słuszność wtedy, gdy za dowód męskości uważa brutalność.

Piłkarz często poczytuje sobie za korzyść, gdy miast piłki, szuka nogi partnera; cyklista nie uważa za nic złego, jeśli sąsiad potrącony na torze czy szosie rozciągnie się na ziemi okrwawiony; bokser, gdy przypadkowo rozbił nos rywalowi — co nie jest zbrodnią — uważa za wskazane bombardować ten cel w nieskończoność, co jest przynajmniej nie rycerskie; nawet lekkoatleta za dowód męskości uważa wpakowanie koledze kolców w łydkę.

Widownia kształtuje swe poglądy pod wpływem działania aktorów. Nie trzeba się więc dziwić krzykom „zabij go", tak często rozlegającym się na galerii. Wyrostek z trybuny nie zna języka angielskiego i terminu fair-play nie rozumie. Pomysły jego oparte są na tym, co widział. A o „czystej grze" mówi się dużo w szatni; na boisku gości ona bardzo rzadko. Gdy więc sportowcy, heroldowie słonecznego jutra, uszkadzają się celowo w „szlachetnym" współzawodnictwie, jedni uważają, że tak widocznie trzeba, że tak należy — i krzyczą: „zabij", a drudzy odwracają się z niesmakiem: „sport — powrót do Neandertalu".

I jedni i drudzy się mylą. Sport, nie będąc wprawdzie żadnym panaceum powszechnym, może przyczynić się potężnie do odrodzenia ludzkości, do szybszego jej kroczenia po ścieżce postępu. W samej swej istocie nie jest on absolutnie niczym spokrewniony z brutalnością.

Brutalność ta przyszła doń z zewnątrz, z codziennego życia. Skoro się jednak chce, by moralność boiska wpływała uzdrawiająco na moralność życia codziennego, by owa sławetna „czysta gra" zaszczepiła się w walce o byt — trzeba pilnować jej przede wszystkim na samym stadionie.

Przepisy sportowe z wystarczającą dokładnością przeprowadzają linię podziału pomiędzy energią, związaną ściśle z wymogiem męskości, a brutalnością, będącą jedynie dowodem chamstwa. Sędziowie sportowi mogą wobec tego przeprowadzić, by tych pojęć w praktyce nie mieszano. Mogą i powinni. Od tego w znacznym stopniu zależy i dalsza ewolucja samego sportu, i ewolucja stosunku doń społeczeństwa.

Czas jest wielki. Statystyka wypadków... przewidzianych na to boleśnie wskazuje.

Kierownicy sportowi muszą w tym wypadku zdobyć się na trochę więcej hartu i męskości!

Wiktor Junosza.

LEKKA ATLETYKA W SZKOLE

Od 10 lat, gdy wyszedł słynny zakaz należenia młodzieży szkolnej do klubów sportowych, oblicze polskiego sportu zmieniło się nie do poznania. Gdy niedawno trzon polskiej reprezentacji lekkoatletycznej składał się z akademików, dziś akademik w reprezentacji jest raczej wyjątkiem. Cieszyć się należy, że sport przeniknął w środowiska, które dawniej pozostawały obojętne dla niego, jednak niemniej ubolewać trzeba, że utracone zostały liczne rzesze młodzieży, która kończy gimnazjum i wstępuje na wyższe uczelnie. Ta młodzież jest stracona dla sportu na zawsze. Ale nie tylko dla sportu. Społeczeństwo ma bardzo często również mały pożytek. Wystarczy wejrzeć w statystyki zdrowotności młodzieży akademickiej. Bynajmniej nie zamierzam na tym miejscu wykazywać niecelowości zakazu należenia młodzieży szkolnej do klubów sportowych. Dziś z perspektywy kilku lat można byłoby z nim i zgodzić się, gdyż w rzeczywistości nasze kluby sportowe w większości wypadków prowadzą gospodarkę rabunkową, — gdyby w chwili wniesienia takiego zakazu stworzono w ramach szkoły odpowiednie możliwości dla uprawiania sportu. Zamierzenia były dobre — szkoła miała przejąć na siebie zadanie klubu, lecz rzeczywistość okazała się zgoła inna. Dawniej młodzież po opuszczeniu szkół średnich tłumnie wstępowała do Akademickich Związków Sportowych, dziś w AZS-ach mamy tylko nielicznych akademików. Nasza młodzież przestała interesować się ćwiczeniami fizycznymi i to ta od której przede wszystkim zależy przyszłość narodu. Postępowanie ostatnich lat wytworzyło fatalną lukę. Teraz, gdy sport szkolny w wielu ośrodkach już nabrał pewnego rozpędu, mamy sporo młodzieży — juniorów, która z zamiłowaniem garnie się do sportu, jednak nie mamy prawie zupełnie ćwiczących ze sfer inteligencji po wieku 18—20 lat. Młodzież, która kończy szkoły średnie i albo wstępuje na wyższe uczelnie, albo ma jeszcze parę lat czasu do odbycia służby wojskowej — pozostaje zupełnie obojętna dla ruchu sportowego.

BRAK ZAMIŁOWANIA DO ĆWICZEŃ FIZYCZNYCH

Z tego można byłoby wysnuć jeden wniosek — młodzież nasza w szkołach nie nabywa zamiłowania do uprawiania stałego jakiejś gałęzi sportu, nie zdaje sobie sprawy z ważności ruchu na dalsze kształtowanie się ciała i aktywności. Ćwiczenia fizyczne mają wielką wartość w ogólnym programie wychowawczym młodzieży, ale nie powinniśmy zapominać o jeszcze jednym niemniej ważnym zadaniu wychowania fizycznego w szkole — wpojenia tak głębokiego zamiłowania do ćwiczeń fizycznych, aby młodzież oddawała się im po opuszczeniu murów szkolnych. Wpływ ćwiczeń fizycznych jest ogromny na ukształtowanie się młodego ciała, ale niemniej duży jest wpływ tychże ćwiczeń na utrzymanie żywotności człowieka w późniejszych latach, na podtrzymanie wydajności pracy do późnego wieku. Nasze starsze pokolenie zainteresowanie sportem ogranicza do uczęszczania na mecze piłki nożnej.

WADY SYSTEMU

Wychowanie fizyczne w naszej szkole w głównej mierze opiera się na systemie kontynentalnym, stawiającym ćwiczenia gimnastyczne na naczelnym miejscu, w przeciwieństwie do systemu angielskiego, gdzie podstawą wychowania fizycznego są sporty i gry sportowe. Nie ulega dziś już najmniejszej kwestii, że wyłączne stosowanie jednego z tych systemów nie doprowadzi do zamierzonego celu. Jeżeli Anglia wprowadza teraz ćwiczenia gimnastyczne do szkół, ale ciągle podporządkowując gimnastykę sportom i grom, to państwa europejskie coraz częściej zwracają się ku systemowi angielskiemu. Połączenie tych dwu systemów może dać najlepsze wyniki. Wyrozumowane ćwiczenia gimnastyczne mają swoją bezwzględną wartość, jednak sporty i gry sportowe wyraźnie górują nad gimnastyką, gdyż: 1) są bardziej atrakcyjne, a młodzież kieruje się bardziej sercem aniżeli rozumem, 2) mają większą wartość etyczną, emocjonalną i wychowawczą, 3) zwiększają aktywność jednostki. Kwestia czy gimnastyka powinna mieć nadrzędne, równorzędne czy też podrzędne miejsce w wychowaniu fizycznym w szkole, nie jest do rozstrzygnięcia na tym miejscu, faktem jednak pozostaje, że w naszym szkolnictwie sporty i gry nie zdobyły jeszcze należnego sobie miejsca. To, co się robi w sporcie szkolnym, przypisać należy inicjatywie i wysiłkom poszczególnych jednostek, które nie szczędzą czasu, a nieraz i pieniędzy, aby sport w szkole postawić na odpowiednim poziomie. Młodzież w zasadzie nie lubi ćwiczeń gimnastycznych, jeśli stara się często wyłamywać w szkole z konieczności uprawiania gimnastyki, w szkole, gdzie istnieje przymus, to już na pewno nie będzie interesowała się gimnastyką, gdy opuści mury szkolne.

Po opuszczeniu szkoły młodzież ma dwie drogi: 1) jeśli przypadek zrządził, że wychowawca fizyczny był miłośnikiem sportu i wpoił młodzieży zamiłowanie do ruchu, to weźmie się za uprawianie jakiegoś sportu, albo 2) co ma miejsce najczęściej, pozostanie zupełnie obojętna dla ćwiczeń fizycznych.

LEKKA ATLETYKA NA NACZELNYM MIEJSCU

Lekka atletyka nadaje się najbardziej do powszechnego wprowadzenia jej do szkół. Jest wszechstronna. Wszechstronność ćwiczeń lekkoatletycznych pozwala nawet wyeliminować wszelkie inne. Same ćwiczenia lekkoatletyczne wystarczyć mogą, aby osiągnąć harmonijny rozwój ciała. Czyż dziesięciobojowiec nie jest wzorem każdego sportowca?

Lekka atletyka daje możność stopniowania, zależnie od wieku i siły. Długość biegu może być łatwo ograniczana dla każdego wieku, tak samo ciężar rzucanego przedmiotu może być ściśle określony.

Jest ona łatwa do prowadzenia nawet w dużej grupie ćwiczących. Nie wymaga specjalnych urządzeń, ćwiczenia lekkoatletyczne można przeprowadzić na niedużym placu, a teren do biegu również można bardzo łatwo znaleźć. Do skoków wystarczy mieć przekopaną ziemię, belkę i parę stojaków. Większe trudności nasuwać może przeprowadzenie rzutów, ale kula i dysk są sprzętem bardzo trwałym.

Lekka atletyka jest sportem, który może być uprawiany do późnego wieku i nie wymaga w przeciwieństwie do gier sportowych, współzawodniczących. Jest indywidualna i pod tym względem najbardziej zbliżona do ćwiczeń gimnastycznych. W większych miastach, gdzie jest mało boisk sportowych i przy dużych odległościach, prowadzenie lekkiej atletyki może nastręczyć dużo trudności, natomiast w miastach mniejszych przepro-



Szkolny bieg na przełaj.

wadzanie zajęć na boiskach sportowych jest bardzo ułatwione. Nie ma tych boisk co prawda jeszcze za dużo, ale znów nasze boiska wystarczą na razie dla wszystkich. Tłoku jeszcze na nich nie ma.

Lekka atletyka też powoli zdobywa już sobie należne miejsce. Wystarczy wziąć do ręki pierwszy lepszy numer „Sportu Szkolnego“, aby przekonać się, że młodzież najwięcej interesuje się lekką atletyką, że najwięcej się urządza zawodów w tym dziale, a dopiero na dalszym miejscu idą gry sportowe i piłka nożna.

ZNAJOMOŚĆ TECHNIKI WYMAGANA

Jednym z głównych hamulców naturalnego rozwoju lekkiej atletyki na terenie szkoły, jest brak odpowiedniego przygotowania u wychowawców fizycznych. Wychowawca fizyczny nie potrzebuje być trenerem, ale musi być bardzo dobrym instruktorem. Podstawowa znajomość techniki poszczególnych ćwiczeń lekkoatletycznych jest konieczna. Ta znajomość techniki musi być głębsza, aniżeli znajomość techniki u instruktorów klubowych. Bo wychowawca fizyczny ma do czynienia z młodzieżą bardzo wnikliwą, wymagającą szczegółowego uzasadnienia zaleconej formy ruchu. Iluż jednak jest wychowawców fizycznych, obeznanych tak dokładnie z lekką atletyką?

Stąd ta niechęć do przeprowadzenia obcych dla siebie ćwiczeń. O wiele łatwiej jest już przeprowadzić gry sportowe — wystarczy mieć piłkę i znajomość przepisów.

Bardzo często jeszcze lekka atletyka jest uważana za sport „rekordowy“, ale chyba nie dlatego, że w lekkiej atletyce postęp w sprawności ćwiczącego daje się łatwo wymierzyć centymetrem czy sekundą. Ale właśnie ta możność czynienia dokładnych pomiarów postępu jest główną atrakcją ćwiczeń lekkoatletycznych dla młodzieży. Ten postęp nie jest szkodliwy, jeśli poprawa wyników będzie osiągana stopniowym opanowywaniem strony technicznej, a nie tylko siłą. Dlatego też, aby lekka atletyka nie wywarła ujemnego wpływu na ćwiczącą młodzież, zasadniczym warunkiem jest odpowiednie opanowanie techniki przez wychowawcę fizycznego.

WIĘCEJ KURSÓW DLA WYCHOWAWCÓW FIZYCZNYCH

Czynniki kierownicze naszego sportu nie zawsze sobie zdają sprawę, ile korzyści może przynieść danej gałęzi sportu dobrze przygotowany wychowawca fizyczny. Poznawszy sam dokładnie daną gałęź sportu, będzie ją forsował na terenie szkoły. Dlatego też koniecznym jest organizowanie corocznych kursów specjalnych dla wychowawców fizycznych. Jeżeli wychowawca fizyczny otrzymał pewne dostateczne przygotowanie w lekkiej atletyce na uczelniach czy kursach wychowania fizycznego, powinien pomimo tego co pewien okres przejść nowe kursy doskonalące. Bo to, co powiedzmy było dobre 3—5 lat temu, dziś już wyglądać może całkiem inaczej. Tym bardziej, że w lekkiej atletyce mamy jeszcze bardzo mało naukowo uzasadnionych form ruchów i w większości wypadków wszystko opiera się na wynikach praktyki.

MIĘDZYSZKOLNE KLUBY SPORTOWE

Niemniej ważnym, aniżeli szkolenie wychowawców fizycznych, są ramy organizacyjne. Koło sportowe winno istnieć przy każdym gimnazjum, a kluby międzyszkolne w każdym większym ośrodku. Są ośrodki, gdzie sport szkolny nabrał już odpowiedniego rozpędu. Mam na myśli przede wszystkim Pomorze, ośrodek, który ostatnio miałem możność dobrze poznać. Na Pomorzu jest duży ruch sportowy wśród młodzieży szkolnej. Nie tylko, że zorganizowano tam ostatnio zawody ogólne całego okręgu Pomorskiego, lecz spotkania lokalne są tam bardzo częste. Mało tego, kluby międzyszkolne biorą udział w zawodach ogólnych, jak na przykład mistrzostwa miasta. Pomorze może wkrótce stać się najsilniejszym okręgiem lekkoatletycznym; ten rozpęd nie ulegnie zahamowaniu. A wszystko to się dzieje dzięki wysiłkom kilku jednostek: prof. Odyji i prof. Malanowskiego w Grudziądzu, prof. Jaroszewskiego w Tczewie.

STWORZENIE CENTRALI MKS

Należałoby powołać do życia centralę międzyszkolnych klubów sportowych, która by przystąpiła do ogólnopaństwowych związków sportowych. Młodzież nadal byłaby kierowana przez czynniki pedagogiczne, a jednocześnie byłby nawiązany już kontakt z szerszymi masami sportowymi, co by niewątpliwie sprzyjało późniejszemu uprawianiu ćwiczeń fizycznych po opuszczeniu murów szkolnych. Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa w nawiązaniu kontaktu z klubami sportowymi, uaktywniłoby się tylko czynność sportową młodzieży, nadałoby się tej czynności kształty bardziej realne. Wówczas pomoc związków sportowych mogłaby być bardziej wydatna, nie tylko pomoc fachowa, ale i w niektórych wypadkach materialna. Bo szkoła sama na sport nie ma zupełnie funduszów, a muszą się znaleźć w jakikolwiek sposób fundusze na opędzenie najbardziej niezbędnych potrzeb — przede wszystkim na zaopatrzenie w odpowiednią ilość sprzętu sportowego.

Centrala klubów międzyszkolnych zajęłaby się również organizacją zawodów okręgowych, międzyokręgowych i w końcu szkolnych mistrzostw Polski.

Stanisław Petkiewicz.





PODANIE RÓWNOLEGŁE

Z trzech możliwych podań kierunkowych najmniej ryzykownym, tj. najmniej narażającym na utratę piłki jest podanie równoległe. Jest ono bowiem wykonane pod minimalnym, a ściśle biorąc, pod żadnym kątem do linii gry. Z tego powodu posługiwano się nim najchętniej w początkach naszego futbolu, gdy sposoby i środki gry zespołowej były jeszcze ubogie, a ich skuteczność bardzo niepewna. Także przepis o „spalonym“, bardziej skomplikowany i niebezpieczny dla linii ataku niż dzisiaj, przyczyniał się do powszechności używania tego podania. Musiano grać ostrożnie i podawać **jak najmniej do przodu** z obawy przed skutkami tego przepisu. Teren można było zdobywać bez obawy przed „spalonym“ jedynie przy pomocy biegu z piłką u nogi. Aby jednak ten bieg graczowi ułatwić, wymyślono współpracę dwóch jednostek, opartą na podaniu równoległym. Odbywało się to w ten sposób: jeden z graczy, biegnący z piłką w stronę bramki, podchodził pod przeciwnika na bliską odległość, gdy równocześnie jego partner biegł na równej wysokości z nim, kierując się w wolną przestrzeń między dwoma normalnie rozstawionymi przeciwnikami; gracz z piłką, nie chcąc narażać się na niepewną walkę z przeciwnikiem, wysyła ją mniej więcej równolegle w kierunku do partnera, biegnącego obok. Ten, nieobstawiony, przyjmuje piłkę i idzie z nią do przodu bez przeszkody, w głąb pola.

Powyższe zagranie **trąci już bardzo myszką** i w akcji zdobywania terenu nie jest obecnie godnym polecenia. Ale jako sposób na wyrabianie pozycji strzałowej, zagranie to zachowa na zawsze swoją pierwszorzędną wartość. Trzeba tylko pamiętać, że piłka, podana w ten sposób na strzał, nie powinna być mierzona wprost na partnera, biegnącego nieco z tyłu, ale w przestrzeń, tj. tak, aby on musiał do niej dobiec i równocześnie mógł nabrać rozpędu, potrzebnego do strzału, a także miał czas rozglądnąć się przed strzałem.

W polu podanie równoległe może być stosowane obecnie tylko w jednym wypadku, a mianowicie jako ciąg pomocniczy, pośredni. Zdarza się to wtedy, gdy gracz, będący przy piłce, nie może z jakiegokolwiek powodu podać **do przodu** swojemu partnerowi, sam zaś jest atakowany przez przeciwników i nie chce wdawać się w niepewną walkę z nimi. W takiej sytuacji podanie równoległe lub lekko do tyłu pozwala na wycofanie piłki z ciężkiego terenu i skierowanie dalszych prób ofenzywnych na inny odcinek, z uzasadnioną nadzieją lepszego powodzenia. Z reguły jednak takich podań należy unikać, a posługiwać się nimi tylko wyjątkowo, bo nadużywanie tego środka, zwłaszcza kilka razy pod rząd, pociąga za sobą tzw. grę wszerz, czyli **nieproduktywne dreptanie na miejscu.** Często jest jeszcze gorzej. Dzięki serii tych podań, zwłaszcza nieco do tyłu, drużyna traci teren, pośrednio wspomaga przeciwnika i naraża na niebezpieczeństwo własną bramkę.

W podaniu równoległym, o ile ono nie ma na celu przygotowania pozycji strzałowej, zawsze tkwi pewna myśl o **kapitulacji przed przeszkodą.** To działa ujemnie na samopoczucie, osłabia ducha ofenzywnego i zmniejsza szanse zwycięstwa. Dlatego w czasie gry w polu należy wystrzegać się go, zwłaszcza, że technika zespołowa dysponuje innymi, daleko lepszymi środkami, jak np. podania „na plecy“, ukośne lub prostopadłe, przy pomocy których ominąć można zawsze, w każdej sytuacji, wszelkie przeszkody.

Edmund Marion.

NASI TRENERZY PŁYWACCY

DOOKOŁA STEPPA I RAJKIEGO

Na terenie Polski w czasie ubiegłego sezonu czynni byli **dwaj zagraniczni trenerzy pływaccy,** Howard W. Stepp z Princeton i Lajos Rajki z Budapesztu. Pierwszy w okresie od początku maja do końca września pracował w kierunku podniesienia poziomu czołowych pływaków i skoczków w Katowicach, Warszawie i Poznaniu, drugi natomiast od początku lipca do początku sierpnia starał się wpoić naszym waterpolistom zasady i tajemnice gry mistrzów świata Węgrów i to w Katowicach i Warszawie.

W związku z pobytem w Polsce tych dwu trenerów, nasuwa się po zakończeniu ich pracy pytanie, czy opłacało się ich sprowadzenie, czy nie, czy zyskaliśmy proporcjonalnie do ofiar (w gotówce) na wynikach, czy też mogło być lepiej?

Dla otrzymania należytej na pytania te odpowiedzi, warto zapoznać się z całokształtem sprawy.

Trener Uniwersytetu Princeton, Stepp, opłacany u nas stosunkowo bardzo dobrze, pracować miał codziennie po południu — za wyjątkiem niedziel i świąt— przez cztery godziny. Znając wartość pieniądza w Polsce, Stepp dobrowolnie **pracował z zawodnikami nadprogramowo** przez dwie albo trzy godziny dziennie przed południem.

Jak pracował Stepp? „Howi", jak nazywali go najbliżsi jego przyjaciele polscy, jest niezwykle sumiennym człowiekiem. W czasie treningu nie uznawał nic innego, jak tylko pracę, i wymagał pracy. Gdy kazał, trzeba było wykonać rozkaz — bez pardonu. Nie krzyczał, ale nakazywał z iście angielskim spokojem, który nie pozwalał się nikomu sprzeciwiać. A ponieważ żądał wiele, w stosunku do zwyczajów pływaków polskich nawet bardzo wiele, praca zawodników nie była łatwa. Polegała ona — jeżeli chodzi o pływanie — tylko na pływaniu i to w całym tego słowa znaczeniu. Trzeba było **pływać, pływać i tylko pływać!** Tysiąc albo dwa tysiące metrów całym stylem, pięćset albo tysiąc metrów tylko nogami, krótkie i dłuższe sprinty, skoki startowe, nawroty oraz zmiany sztafetowe — oto był program codziennych zajęć. Stepp przy tym żądał amerykańskiego tempa, nie uznając w miarę możności żadnych przerw. Zgodnie z amerykańsko-japońską zasadą „chcesz pływać jak ryba, oswój się z wodą jak ona", dbał z całą bezwzględnością o respektowanie tej zasady.

Łatwo się domyśleć, jak reagowali na tę metodę przyzwyczajeni do minimalnych wysiłków pływacy nasi, a szczególnie ci, którzy w roku ubiegłym nie mieli możności zapoznania się z metodami treningu amerykańskiego pływaka. W pierwszych dniach przeszkolenia zanosiło się też na prawdziwą katastrofę. Zawodnicy, wyczerpani do ostatka, doczołgiwali się zaledwie do szatni, gdzie w różny sposób krytykowali tę amerykańską „mordęgę". Coraz bardziej też zawodnicy zaczynali od treningów stronić, tłomacząc się różnymi wymówkami, i trzeba było dużo wysiłków, aby utrzymać w obozie należytą karność. Wreszcie jednak, więcej pod przymusem, jak z własnego przekonania, zawodnicy robili co im kazano. Robili to zupełnie mechanicznie, nie wierząc w cel tak morderczych wysiłków.

Sam z ukrytym w ręku stoperem kontrolowałem w tym czasie wyniki, aby wyrobić sobie własny sąd o metodzie Steppa. Przyznam się, iż w miarę upływu dni, coraz bardziej **ogarniał mnie niepokój.** Wyniki bowiem z dnia na dzień pogarszały się w niewiarygodny wprost sposób. Była to prawdziwa jazda w dół. W obawie o poziom czołowych naszych pływaków, postanowiłem tedy pomówić na temat upadku formy zawodników ze Steppem. Uśmiechnął się serdecznie. „You will look, in some days"!

Po upływie trzech tygodni przeszkolenia nagle nastąpił pewien zastój, potem raptowny zwrot. Krzywa wykazywała paradoksalną po prostu tendencję w górę. Po pierwszym oficjalnym sprawdzeniu w tym okresie wyników, zawodników ogarnął **istny szał radości.** Odtąd nie trzeba ich już było naganiać. Wcho-

dzili do wody z uśmiechem, rwali się dosłownie do pracy, słowem, znaleźli wiarę w Steppa i siebie. I zaczęli śrubować wyniki.

Obserwowałem kiedyś w Paryżu trening holenderskich dziewcząt. W Berlinie widziałem i pływaczki Danii. Ich system treningu niczym nie odróżniał się od metody Steppa. Pływają — wydawało się — bez końca i celu. A jednak fakty mówią za siebie. Podziwiają ludzie fenomen Ragnhild Hveger. Owszem, jest ona niezwykłym talentem, ma przepiękny styl oraz technikę, a przede wszystkim sporo siły. Ale że Hveger pracuje ciężko przez cały rok, nie przerywając prawie zupełnie codziennego kilkugodzinnego treningu, o tym mało kto wie.

Metoda Steppa, albo jak kto chce — system amerykański, stosowany stale, **musi dać wyniki.** Wiemy też, iż ubiegłego sezonu mieliśmy wyników dobrych bardzo wiele. Większość ich przypisać trzeba bezwarunkowo na konto Steppa, przy czym warto przypomnieć, iż nie było dotąd pośród licznych zagranicznych trenerów ani jednego, który by się mógł poszczycić podobnymi sukcesami w Polsce.

Podobnie miała się sprawa skoków. W skokach mamy jednak zbyt małe zainteresowanie, a czas był zbyt krótki, aby spodziewać się ogólnego postępu. Stepp, będąc sam świetnym skoczkiem, wymagał tu również bardzo wiele, ćwicząc z zawodnikami przez godzinę i więcej, przy czym niektórzy z nich, jak Maerz, wykonywali 80 do 100 skoków dziennie. Stepp tego jednak żądał i zawodnicy robili to, co on żądał, choć niejednokrotnie z góry wiedzieli, iż wylądują na plecach albo na brzuchu. Stepp traktował bowiem skoczka — co ogólnie podpadło — bez względu na poziom. Nie uczył najpierw łatwiejszych skoków, aby przejść stopniowo na skoki trudniejsze, ale kazał od razu robić skoki nieraz bardzo trudne. Ponieważ do nauki skoków potrzeba bardzo dużo czasu, nie bardzo się w skokach Steppowi powiodło i jeżeli w tych warunkach udało mu się wpoić kilku skoczkom zasady szkoły amerykańskiej, przyjąć można, że pewien cel i tu został osiągnięty.

Stepp okazał się trenerem ze wszech miar dobrym. Pomimo jego nieustępliwości jest on nawet w czasie treningu człowiekiem niezwykle dobrodusznym. Potrafił on na przykład skarcić zawodnika w swoisty sposób, aby nieco później podarować mu piękny jedwabny kostium, albo slip. **Był przyjacielem wszystkich pracowitych zawodników, wrogiem leniuchów.** Słowem jest dla nas wymarzonym trenerem.

●

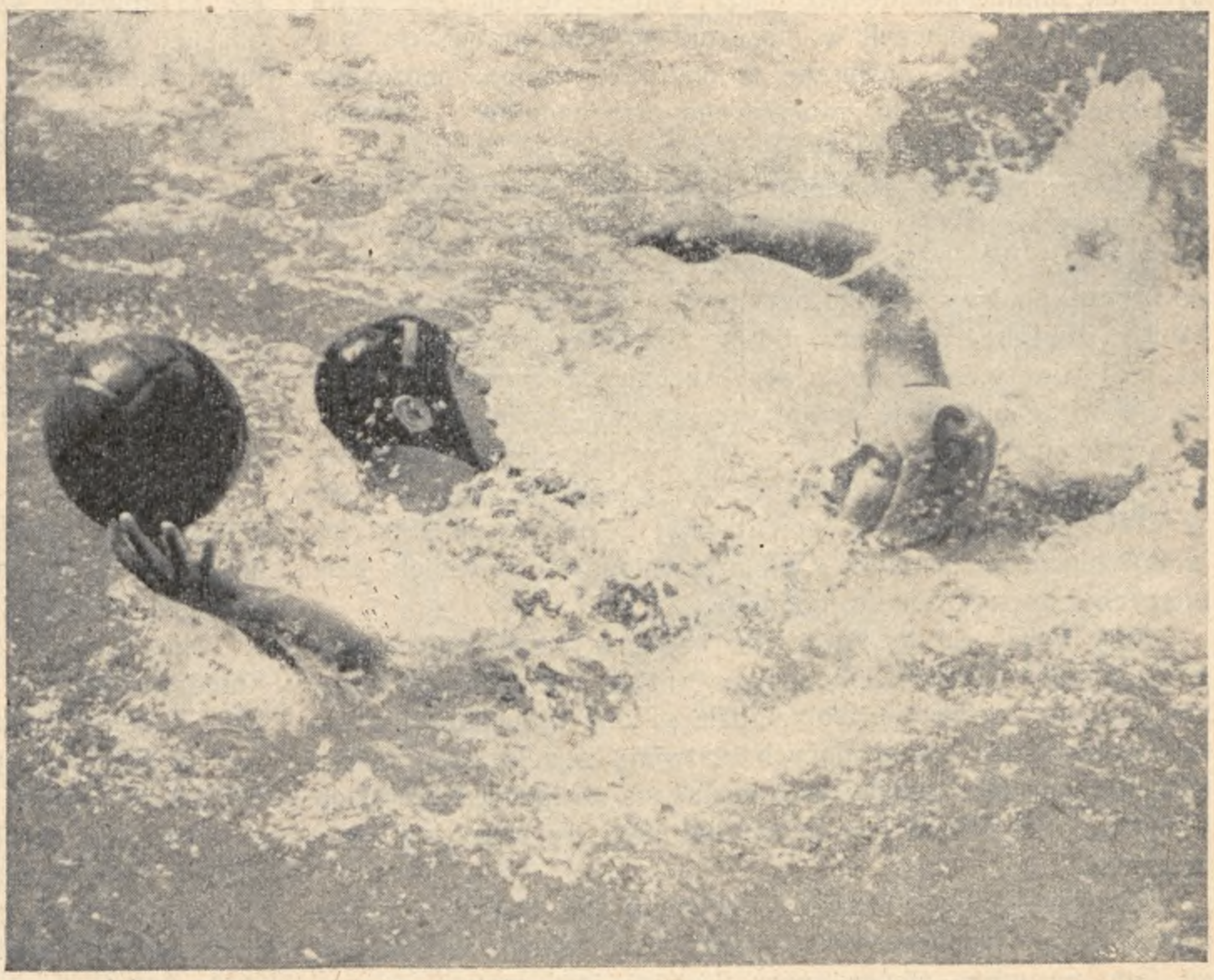
Lajos Rajki — jeżeli chodzi o zapał do pracy, znajomości fachowe i umiejętności pedagogiczne—również stał na wysokości zadania. Był on znacznie niżej od Steppa opłacany, ale sprawował swoje funkcje z niemniejszym poczuciem obowiązku. Będąc sam pierwszorzędnym waterpolistą (kilkanaście razy reprezentował barwy Węgier), Rajki starał się służyć zawodnikom przede wszystkim **własnym przykładem.** Pokazywał on wiele i wymagał wiele. Ale i dla Rajkiego okres był zbyt krótki, aby dostatecznie nauczyć kogokolwiek trudnego kunsztu operowania piłką w wodzie, do granic możliwości (węgierskich). Rajki robił, co tylko mógł i zrobił to dobrze. A ponieważ pochodzi on z kraju, gdzie piłka wodna stoi na najwyższym poziomie światowym, więc nie można było lepszego dokonać w tych warunkach wyboru.

Pytanie zatem — czy opłaciło się sprowadzić tych trenerów — w powyższych wyłuszczeniach znajduje pewną już odpowiedź. Inna jest kwestia, czy trenerów wykorzystano do maksimum. Stepp — jeżeli chodzi o Katowice — zgodnie z instrukcją trenował z 30 do 40 czołowymi zawodnikami, z których gros, tj. około 3/4, stawiał okręg śląski, reszta zaś pochodziła z innych okręgów. W rzeczywistości z różnych przyczyn korzystało jednak z pomocy trenera przeciętnie dziennie **tylko 25 zawodników.**

Praktyka wykazała, iż nie tylko liczba 25, ale i 40 była stanowczo za niska, aby wykorzystać w całości trenera. Sam Stepp potwierdził to i gdyby na treningi było uczęszczało więcej — powiedzmy 80 zawodników, —trening także nie szwankowałby. W dodatku większa liczba zawodników, korzystających z cennych porad trenera, uniemożliwiłaby tak niezwykłe zmęczenie zawodników i nie było by niepożądanych przerw. Powiększenie liczby trenujących było jednak niemożliwe, z uwagi na zwiększenie się tym samym i tak już bardzo wysokich kosztów przejazdu zawodników śląskich i pobytu zawodników pozaśląskich.

O ile chodzi o piłkę wodną, sprawa— ze względu na stosunkowo małą liczbę zaawansowanych graczy — przedstawia się podobnie. Rajki dysponował zaledwie **kikunastoma zawodnikami,** a ponieważ grono waterpolistów składa się prawie wyłącznie z pływaków, którzy są i dobrymi pływakami i dobrymi waterpolistami, zawodnicy chcąc korzystać w obu kierunkach, uczęszczali raz na trening pływacki, raz na trening piłki wodnej. Treningi te odbywały się jednak w godzinach popołudniowych jednocześnie, wobec czego ani zawodnicy, ani trenerzy zbyt zadowoleni z takiego stanu rzeczy być nie mogli, bo traciły tu wyraźnie obie strony. Tak co najmniej było na Śląsku.

Ale straciliśmy jeszcze w innym kierunku. Wiadomo, iż nie stać nas chwilowo na stałych trenerów tej marki, co Stepp i Rajki. Ich praca — jako czasowa — stanowić zatem może tylko pewnego rodzaju **ugruntowanie pola pracy dla instruktorów krajowych, oraz zawodników.** Tak co najmniej wydawało się czynnikom miarodajnym. W rzeczywistości jednak mało kto zrozumiał ten tak wyraźny cel Związku Pływackiego i mało kto też zastosował się do niewypowiedzianego urzędowo życzenia PZP kontynuowania zasad treningu amerykańskiego i węgierskiego — po odjeździe trenerów.



W ogniu walki.

Nie dziwię się temu absolutnie. Są w Polsce ludzie, którzy nie wiadomo z jakiego tytułu czują się powołani nie tylko do kwestionowania kwalifikacji trenerów, ale i **odradzania zawodnikom korzystania z pomocy tych trenerów.** Ludzie ci nie zdają sobie sprawy z tego, iż w ten sposób nie tylko wywołują niepożądany ferment w skromnych naszych szeregach chętnych do pracy pływaków, ale i przyczyniają się bezpośrednio do zmarnowania szczupłych funduszów związkowych. Są również i zawodnicy, którzy nie bacząc na klasę trenera, już w czasie treningu wyraźną wykazują niechęć do sumiennej pracy, udając, że nie oni zyskują na treningu, lecz ich trener. Nic dziwnego, że gdy pozostawiono zawodników tego typu — a jest ich pokaźna ilość — po odjeździe trenera własnemu losowi albo opiece instruktora klubowego, wpadli oni w stare grzechy. Zaprzestali trenować według wpojonych im zasad, ograniczając się jedynie do kontynuowania od czasu do czasu koniecznych „spacerów w basenie", tak znacznie przecież przyjemniejszych od twardego treningu Steppa czy Rajkiego.

Przypominamy sobie wszyscy radosne chwile ustalenia nowych rekordów pływackich Polski. Było tych chwil w ubiegłym sezonie **dwadzieścia kilka,** ale mogło ich być znacznie, bardzo znacznie więcej. Trenerzy kosztowali dużo pieniędzy. Wydatki z tego tytułu — jak wykazuje tegoroczna tabela rekordów — opłaciły nam się, ale proporcjonalnie do ofiar gotówkowych nie zyskaliśmy tyle, ile spodziewaliśmy się, bo trenerzy **nie byli należycie wykorzystani,** ich wysiłki, oraz cel sprowadzenia ich nie były przez ogół zrozumiane. Ten kardynalny błąd sam prosi się o niepowtórzenie — w interesie dobra sprawy i przyszłości naszego pływactwa.

F. Berlik.

NA SIODEŁKU MOTOCYKLA

VIII.

Staram się w tych pogawędkach pokazać z bliska wszystkie szczegóły jazdy, przygody, jakie spotykają i mogą spotkać motocyklistę. choć zdaję sobie dobrze z tego sprawę, że nie wszyscy moi czytelnicy są posiadaczami motocykli i nie wszyscy pójdą w moje ślady. Chodzi mi o to, by w moim łaskawym audytorium powstała pasja do maszyny, sympatia dla zespołu różnych stalowych, aluminiowych, gumowych i szklanych przyrządów, który dzięki geniuszowi ludzkiemu, ożywiony i puszczony w ruch zdaje się przewidywać nasze upodobania, spełniać rozkazy, a nawet i kaprysić, jak koń niesforny.

Umyślnie omawiam drobiazgowo szczegóły moich wycieczek i przygód, aby pokazać motocykl, drogę i jeźdźca możliwie z bliska, wyraźnie i ostro. Abyśmy mogli zdać sobie jasno sprawę z wartości tak zwanej motoryzacji, ze znaczenia jej dla człowieka, i aby obraz zapadł nam głęboko w umysły, tworząc w skromniutkim i maleńkim zakresie komórkę kultury technicznej. Aby znikły z dróg gromady dzieci krzyczące, rzucające kamieniami i podkładające przejeżdżającym turystom kamienie i szkło pod koła, aby nie było w Polsce dzieci wystawiających tak smutne świadectwo naszej kulturze technicznej. Abyśmy nareszcie zobaczyli w maszynie naszego przyjaciela, pomocnika, narzędzie posłuszne, a nie tylko wroga, pędzącego z hałasem i trąbieniem, zabijającego przechodniów i wywołującego przestrach i nienawiść.

Takie sobie postawiłem zadanie. Czy się zeń wywiązałem jak należy, tego nie wiem. Sądzę jednak, że spełniłem swój obowiązek, jeśli choć jednego z czytelników nakłoniłem do uprawiania turystyki motocyklowej, jeśli nie teraz to w przyszłości, jeśli choć jedną zawalidrogę furmankę usunąłem z drogi, jeśli choć jedno dziecko przekonałem, że przejeżdżających należy witać uprzejmie, a nie przyjmować kamieniami.

Gdzieśmy to się rozstali? Aha, w Ojcowie! Zwiedzimy tam jeszcze grotę Łokietka, w której król ten ukrywał się w czasie walk o koronę, przebywając z przerwami kilka lat w jaskiniach podziemnych z pomocą chłopów ojcowskich, karmiących i broniących swego króla.

Aby wejść do groty, trzeba najpierw wejść na wysoką górę, porosłą lasem. Pod samym prawie szczytem tej góry znajduje się wejście do groty, gdzie schody drewniane i poręcze zrobione dla zwiedzających ułatwiają zejście. Za czasów Łokietka znacznie trudniej było dostać się do jaskiń ojcowskich i dlatego ukrywający się monarcha mógł się tam czuć bezpieczny.

Ze świecami w rękach wchodzimy do głębokiej groty. Zimno panuje tu niesamowite, co jest tym bardziej uderzające, że tam, na górze słońce świeci i dzień jest upalny. Ściany i sklepienie jaskini, z szarej wapiennej skały, z której nieustannie kapie roztwór wodny wapienia, tworząc z czasem tak zwane stalaktyty i stalagmity, fantastyczne sople z wapiennej skały, zwieszające się ze sklepienia i wyrastające z podłogi. Niestety w Ojcowskich grotach nie ma tych malowniczych ozdób; zabrali je turyści, od kilkuset lat zwiedzający groty. Za to ściany są okopcone od tysięcy pochodni, jakie się tu paliły przez cały ten czas. Kopeć tworzy dziwaczne wzory na szarych ścianach, niknących w pomroce, wyrastających poza zasięg nikłego światła świeczek, trzymanych przez turystów.

Jaskinia pierwsza, zwana sypialnią, łączy się wąziutką sztolnią skalną z drugą, nieco obszerniejszą, zwaną jadalnią królewską. Wszystkie te nazwy są wytworem legendy, słucha się jednak słów przewodnika w skupieniu, bowiem nastrój ciemnej groty długości 120 m, nad którą wisi sklepienie z 15 metrów litej skały wapiennej, do której nigdy światło nie dochodzi, i gdzie ciszę przerywa tylko monotonny dźwięk spadających kropel wody, wpływa tak na najweselszych turystów, że stoją poważni, ze zdumieniem rozglądając się wokoło.

Szybko schodzimy z góry, aby szosą wijącą się w głębi malowniczego wąwozu odjechać do Krakowa. Po drodze Brama Krakowska: wielkie kolumny skalne zamykają wejście do bocznej dolinki. Wreszcie wjeżdżamy na serpentyny, skręty malowniczej drogi, która podnosi się stopniowo, za każdym nawrotem ukazując z coraz to wyższego punktu skały Ojcowa. Wreszcie ostatni rzut oka na przepiękny widok i dolina Prądnika znika z oczu. Jesteśmy na pagórkowatym wyżu, zjeżdżamy teraz zeń ku Wiśle, ku Krakowowi. Po drodze olbrzymia wieś, przedmieście Krakowa, Bronowice Wielkie i Małe, gdzie odbywało się ongiś wesele Lucjana Rydla, świetnego poety, które uwiecznił Wyspiański w swym dramacie „Wesele". Odtąd każdy kamień będzie nam coś mówił o przeszłości, każdy mur, wyłaniający się z za drzew, nosi na sobie brzemię historii.

W głębi ulicy majaczy już smukła sylwetka wieży, uwieńczonej złotą koroną i wieńcem małych wieżyczek; przy niej druga, nieco niższa, hełmem barokowym ozdobiona: to kościół Mariacki, jesteśmy w Krakowie.

Nie będę tu powtarzał zachwytów na widok Wawelu, Katedry, wreszcie ulic Krakowa, pełnych wspomnień i pamiątek. Tylu już lepszych ode mnie lepiej to zrobiło. Pielgrzymką na Sowiniec pożegnałem zadumany Kraków, tonący w mgłach porannych, i ruszyłem co koń wyskoczy, a właściwie co trzy konie wyskoczą, bowiem mój motocykl ma trzykonny silnik — do Warszawy przez Śląsk, Częstochowę i Piotrków. Drogę powrotną zrobiłem w dwóch etapach dziennych, przy czym ostatni Częstochowa — Piotrków — Warszawa wynosił około 250 km

Wacław Frenkiel.

SMUTNY LOS MISTRZOSTW POLSKI W HOKEJU NA LODZIE

Jednym z najbardziej przykrych i niebezpiecznych niedomagań sportu hokejowego jest dziwna impotencja rozgrywek o mistrzostwo.

Jest to niewątpliwie jedna z najważniejszych przyczyn słabego tempa rozwoju tego sportu mimo niezaprzeczonych jego wartości widowiskowych.

Uprzytomnijmy sobie: jak to było dotychczas?

A więc była sobie dawno już temu drużyna AZS. Niewątpliwie zasługa tych kilkunastu ludzi dla propagandy hokeja jest olbrzymia. Ale niestety najgorszym właśnie okazało się to, że poza AZS-em nie było nic więcej, zaś drużyna klubowa, jako reprezentacja (w całości) zawsze posiada tę wadę, że jest trudna do prowadzenia, że staje się sama „gwiazdą" tak, jak stają się „gwiazdami" poszczególni zawodnicy, z tą różnicą, że z pojedynczym graczem zawsze łatwiej dać sobie radę, niż z całym zespołem rozwydrzonych gwiazd.

I oto przyszedł moment, gdy drużyna ta odmówiła wyjazdu zagranicę (jako reprezentacja) bo... warunki proponowane przez Związek były dla Klubu nie dość korzystne.

Ale mniejsza i o to; to już należy do histori.

Gdy „skończył" się AZS — długo, długo nie było nic. Owszem, było zmartwienie z ustawieniem reprezentacji, były coroczne wyjazdy za granicę, były nieliczne zwycięstwa i liczniejsze porażki, była wyprawa amerykańska, był potem skandal, byli „nowi ludzie", którzy poprawiali błędy przeszłości i „poprawić" ich nie mogli.

Jak wygląda ta „radosna twórczość" do roku 1936?

A więc przede wszystkim wyjazdy. Naturalnie zagranicę. Przed wyjazdem odbywał się obóz przygotowawczy, który kosztował zazwyczaj grube pieniądze, potem wyjazd 15—17 osób, a reszta zbijała bąki na własnym podwórku. Robiło się wielki szum w prasie, wielką reklamę, „dobrą minę do kiepskiej gry" i na tym koniec.

Wreszcie, gdy w opinii sportowej takie metody pracy poczęły budzić wątpliwości, wymyślono kapitalny trick, który na pewien okres czasu uśpił czujność szerokich rzesz miłośników hokeja: pulę finałową o mistrzostwo Polski.

Cały dowcip polegał na tym, że do rozgrywek o Mistrzostwo Polski Zarząd PZHL wyznaczył osiem drużyn klubowych, które w zestawieniu parami rozgrywały mecz i rewanż, poczem cztery drużyny (pokonane) odpadały od dalszych rozgrywek, pozostałe zaś cztery rozgrywały trzydniowy turniej o tytuł mistrza Polski.

Tak przez kilka lat grywano sobie ciągle w tym samym towarzystwie, aż wreszcie pękła bomba!

Stało się to wówczas, gdy na miejscu Ogniska (Wilno) wyznaczona została do puli Warszawianka. Zrobił się wielki gwałt w prasie, później jeszcze większy gwałt na walnym zebraniu PZHL i w rezultacie postanowiono: zreformować system rozgrywek o mistrzostwo Polski, samą reformę odłożono na później, gdyż nie było komu i nikt nie wiedział jak to zrobić, tymczasem zaś, ponieważ zbliżał się rok olimpijski, nie rozgrywać mistrzostw.

Rok 1936 (po olimpiadzie w Garmisch) był rokiem wielkich przemian. W maju gruntownie został zmieniony skład personalny zarządu PZHL, dzięki czemu w październiku uchwalono nowy statut i nowy regulamin sportowy.

Przewidziany w regulaminie tym sposób rozgrywek o mistrzostwo Polski oparty był na systemie eliminacji. Do rozgrywek końcowych dochodziło 12 drużyn tj. 9 mistrzów poszczególnych okręgów oraz 3 wicemistrzów z okręgów: warszawskiego, lwowskiego i krakowskiego.

Właściwie był to ten sam system puli, gdyż i tu kluby rozstawione parami grały w początkowej fazie mecz i rewanż, a potem zwycięzcy brali udział w turnieju finałowym, jednak różnił się tym od poprzedniego, że prawo udziału w grach o tytuł mistrza Polski musiał sobie klub wywalczyć przez zdobycie tytułu mistrza wzgl. wicemistrza Okręgu oraz, że do turnieju finałowego dochodziło sześć drużyn, nie zaś cztery, jak przedtem.

W pierwszym roku po wprowadzeniu nowego regulaminu, po raz pierwszy od wielu lat mistrzostwa Polski nie tylko zostały ukończone, ale przede wszystkim dały możność ustalenia składu drużyny reprezentacyjnej, gdyż przegląd formy zawodników w okresie turnieju kolosalnie ułatwił to zadanie.

Tu właśnie zaznaczyć należy, że warunkiem sine qua non doprowadzenia mistrzostw Polski do skutku przy krótkim u nas zazwyczaj okresie mrozów i braku sztucznych lodowisk, było: a) szybkie rozegranie mistrzostw okręgowych, b) niemniej szybkie rozegranie puli i c) rozegranie finału przed terminem mistrzostw świata.

Jeżeli którykolwiek z wymienionych warunków nie został dotrzymamy, rozegranie mistrzostw Polski i wyłonienie mistrza było już niemożliwe, gdyż po mistrzostwach świata, rozgrywanych zwykle w połowie lutego, następował zazwyczaj okres odwilży, a tym samym i koniec sezonu. Tak właśnie było w roku ubiegłym.

Jak widać z powyższego, rozegranie mistrzostw Polski w hokeju na lodzie nie jest rzeczą łatwą, gdyż wymaga nie tylko sprężystej organizacji i wykorzystania stosunkowo krótkiego okresu mrozów, ale przede wszystkim rozegrania mistrzostw okręgowych, co przy braku odpowiednich ludzi w okręgach jest zadaniem częstokroć niemal niewykonalnym.

Przyczyna złego tkwi niestety w tym, że na ogół nasi działacze sportowi są ludźmi wychowanymi na wzorach piłkarskich, gdzie sezon trwa niemal 9 miesięcy i gdzie można pozwolić sobie na rozwiązywanie zawiłych sporów i zagadnień; w hokeju zaś każda chwila jest niewspółmiernie droga i straconego czasu nadrobić się nie da.

Okoliczności te nasuwają dwa wnioski. Aby wybrnąć z trudnego impasu, w jakim ostatnio znalazł się hokej polski, należy: a) do pracy w związkach hokejowych powoływać ludzi zdecydowanych, ludzi czynu, nie zaś osoby lubujące się w zawiłych i długotrwałych dyskusjach parlamentarnych, oraz b) udoskonalić system rozgrywek o mistrzostwo Polski, biorąc pod uwagę nasze specyficzne warunki klimatyczne i konieczność powiązania mistrzostw Polski z mistrzostwami w różnych klasach w jedną całość.

J. B.



Przed bramką.

PRZED MECZEM Z IRLANDIĄ

Ustawianie list klasyfikacyjnych jest rzeczą niewdzięczną, szczególnie w sportach, w których brak wyraźnych kryteriów porównawczych. Czytaliśmy gdzieś taką listę lokacyjną piłkarstwa europejskiego. Irlandia znalazła się w niej w grupie państw trzeciej kategorii!

Jakim cudem autor doszedł do tak śmiałego wniosku, trudno dociec. Nie opierał się chyba na wynikach cyfrowych. W takim wypadku musiałby chyba wiedzieć, że ta „trzecioklasowa" Irlandia sprała dotychczas trzy razy skórę Belgii, pobiła Francję, z Niemcami przegrała w Dortmundzie 1:3 i zrewanżowała się im natychmiast w Dublinie 5:3, z Węgrami przegrała dwukrotnie w... Dublinie 2:4 i 2:5, a... zremisowała w Budapeszcie 3:3, przegrała 1:2 z Italią, wygrała i przegrywała z Holandią, trzykrotnie pokonała Szwajcarię i to ostatnio we wrześniu 4:0, z Norwegią grała 2:3 w Oslo i 3:3 w Dublinie...

Wiązanka wystarczająca! Świadczy chyba wymownie, że autor popełnił gaffę i wniosek swój oparł chyba na wyniku 0:6 z Polską.

Niemieckie przysłowie powiada, że jedna jaskółka nie robi jeszcze wiosny! Klęska warszawska nie degraduje jeszcze piłkarzy irlandzkich o całą klasę w stosunku do ich polskich kolegów, szczególnie, że nastąpiła w kilka dni po zaszczytnym remisie w Pradze z Czechosłowacją.

Irlandczycy ponieśli u nas katastrofalną klęskę, ponieważ nie mieli swego dnia, podczas gdy naszym piłkarzom szła wyjątkowa passa. Wypadki takie znane są w sporcie i dlatego nie należy wysnuwać z nich zbyt dalekich konkluzji. Gdybyśmy bowiem z tą samą Irlandią grali po raz drugi o tydzień później, kto wie, czy uzyskałoby się choćby w przybliżeniu tak korzystny wynik. Między piłkarzami Polski i Irlandii nie ma różnicy klasy. Z tego należy zdać sobie sprawę właśnie w przededniu wyjazdu do Dublina.

Klasyfikowanie drużyn czy reprezentacyj, mających siedzibę po tamtej stronie „kanału", jest w ogóle zbyt ryzykowne. Cóż można bowiem powiedzieć o Irlandii, z chwilą, gdy nie ma się pojęcia, jaki będzie jej skład. A może on być tak różny jak dzień i noc. Wystarczy, by Związek dubliński uzyskał zwolnienie dla graczy narodowości irlandzkiej, zatrudnionych w klubach angielskich, a bitność drużyny narodowej gwałtownie się podwyższy. Trudności urlopowe mogą znów w równym stopniu obniżyć jej wartość.

Tak czy inaczej, mecz na boisku w Dublinie — to zadanie diabelnie ciężkie! Potknęły się na nim Niemcy w okresie pełnej świetności, szpetnie obcięła się Szwajcaria, która chyba w roku bież. nie może uskarżać się na brak powodzenia.

Główną zaletą Irlandczyków jest ich doskonała kondycja i wielka ruchliwość. Grają stylem angielskim, a więc coś tak jak ostatnio Norwegowie. Atakują dalekimi podaniami wzdłuż i na krzyż boiska. Środkowy pomocnik spełnia funkcję trzeciego obrońcy, boczni pomocnicy kryją przeciwnych łączników i wspierają własny napad. Ataki idą długimi falami, są szybkie i pełne impetu. W Warszawie, gdy wygrywaliśmy wysoko, nie miało się właściwie ani przez chwilę wrażenia, jakoby Polska zdecydowanie przeważała! Goście z Zielonej Wyspy utrzymywali bowiem przez cały czas grę otwartą i gdyby atak ich miał lepszych strzelców nie skończyłoby się „na zero".

Irlandczycy zmobilizują na 13 bm. na pewno najlepsze swe siły, by wziąć rewanż za wiosnę. Najgroźniejszy będzie pierwszy kwadrans, toteż nie będzie czasu na stopniowe „rozkręcanie się". Do walki wypadnie przystąpić z miejsca zdecydowanie i energicznie! Szwajcarów dobił pierwszy impet Irlandczyków, którzy poszli w bój jak huragan, nie żałowali płuc, nóg i... kości. Irlandczycy grając na własnym boisku nie bawią się w ceregiele, idą na gracza ostro i zdecydowanie, opierając się na angielskiej interpretacji przepisów.

Mecz nasz sędziować ma wprawdzie arbiter kontynentalny, Niemiec dr Bauwens lub Belg Langenus, jednak należy liczyć się z tym, że będą oni prawidła o szarżowaniu traktować liberalniej, aniżeli czynią to normalnie na Kontynencie.

Reprezentację piłkarzy polskich czeka w Dublinie bardzo ciężkie zadanie, toteż jeśli uda jej się uzyskać choćby wynik remisowy zaważy on bardzo poważnie na szali tegorocznych dorobków.

PO MECZU ANGLIA — RESZTA EUROPY

W dniu jubileuszu dostojnej Federacji (75 lat od założenia) mieli więc Anglicy swoją uciechę. Upewnili się raz jeszcze, że nie grozi im nic ze strony Kontynentu. Pisma przybrały znów ton dobrotliwych łaskawców:

— Jesteście wcale, wcale pilnymi uczniami... Robicie postępy owszem... Ale do nauczyciela wciąż jeszcze bardzo daleko...

Tyle gazety. Szary wyspiarski człowiek nie dostrzegał nawet tych chwalonych postępów. Szedł on na mecz w przeświadczeniu, że Anglia jest bez konkurencji, że angielski futbol musi wygrać. Nie wgłębiał się w problemy, nurtujące Kontynent, nie zastanawiał się nad kłopotami, jakie sprawiało zebranie **jedenastu różnych graczy,** nic nie obchodziły go „ideologiczne" różnice systemowe! Wiedział, że z tej strony jest Anglia, a po przeciwnej — Reszta Europy. Był przekonany, że Anglia jest lepsza i — otrzymał naoczny tego dowód. Śpi więc nadal spokojnie, nie interesuje się w najmniejszym stopniu tym, czym martwi się i cieszy Europa. I gdy my, przez długi czas jeszcze wspominać będziemy i debatować na temat historycznego 26 października, dla Anglików pozostanie on przemijającym epizodem, nad którym nie warto mozolić sobie głowy.

Czy spotkanie na słynnym stadionie Highbury (Arsenal) było rzeczywiście europejską katastrofą? I tak, i — nie! Reprezentacja Kontynentu (o ile **zlepek** zasługuje na tak szlachetną nazwę) prezentowała się źle, nawet kompromitująco. Wynik 0 : 3 był jeszcze szczęśliwy, był jednak gorszy, niż rezultat, na jaki zdobyły się niegdyś Austria, Włochy i Czechosłowacja!

Kompromitacja teamu Kontynentu **nie była więc kompromitacją kontynentalnego piłkarstwa!** Wiemy, że jest ono lepsze, niż wyglądało to z październikowej perspektywy. Wiemy, że posiada lepszych graczy, niż większość tych, których spotkał zaszczyt przywdziania bladoniebieskich koszulek FIFA.

Komandor Pozzo, opiekun drużyny, wyraził się, że po trzech tygodniach treningu podjąłby się **z tym samym zespołem przeciwstawić** się znacznie skuteczniej reprezentacji Anglii. Jest to może zbyt śmiała przechwałka. Wierzymy natomiast, że przy dokładnej selekcji, dałaby się zestawić reprezentacja kontynentu, która po krótkim treningu mogłaby zmusić Anglików do najwyższego wysiłku i walczyłaby z nimi na poziomie równego z równym.

Że nie stało się to już teraz, trudno kogokolwiek winić. Mecz z Anglią wypadł w okresie wielkich politycznych napięć. Międzynarodowa Federacja nie mogła czerpać swobodnie z wielkiego swego rezerwuaru. Team wysłany do Londynu miał charakter „koniecznościowy". W normalnych warunkach znalazło by się w nim **wiele innych nazwisk** bardziej ze sobą harmonizujących.

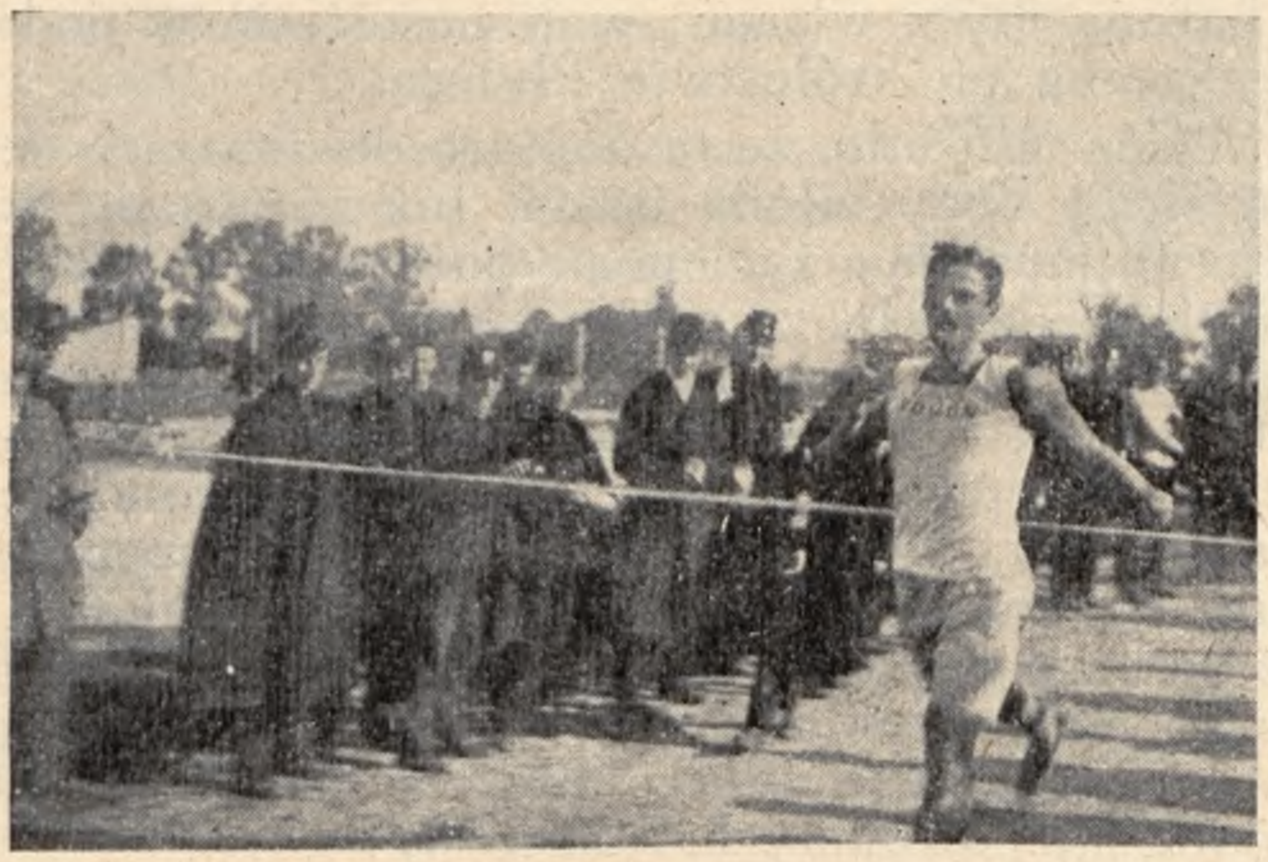
Kompromitacja londyńska spowodowana została bowiem również i tym, że zlekceważono zwykły zdrowy rozsądek i zestawiono piłkarzy, o których wiedziało się z góry, że dzielą ich **zasadnicze różnice** w sposobie ujmowania gry. Liczono na jakieś „cudowne zespolenie", cudu jednak — nie było.



JUBILEUSZ „POGONI"

(OD SPECJALNEGO WYSŁANNIKA „SPORTU POLSKIEGO")

Uroczystości jubileuszowe z okazji 35-lecia Lw. KS „Pogoń" rozpoczęły się w dniu 30 października rb. i trwać będą do 29 maja 1939 r. W ramach tego „roku jubileuszowego" odbędzie się szereg imprez. Tak więc w sezonie zimowym 1938—1939 przewidziany jest wielki międzynarodowy turniej hokeja na lodzie oraz zawody narciarskie. W sezonie letnim 1939 roku urządzone zostaną międzynarodowe zawody lekkoatletyczne, zawody pływackie, zawody pięściarskie oraz turniej tenisowy.



Przed 27 laty. Tadeusz Kuchar na mecie biegu na przełaj.

Poza tym główne uroczystości, które odbędą się w dniach 28 i 29 maja 1939 r., połączone będą z międzynarodowym turniejem piłkarskim, który niewątpliwie zainteresuje zwolenników piłki nożnej nie tylko Lwowa, lecz i całej Polski. Staraniem klubu ukaże się „Księga pamiątkowa" pod redakcją prof. Wacka, obejmująca poza historią klubu i sprawozdaniami z 35-letniej pracy także historię sportu polskiego na terenie Małopolski.

Inauguracja uroczystości jubileuszowych w dniu 30.10. rb. rozpoczęła się powitaniem gości przez prezesa Pogoni dyr. Jerzego Kozickiego, poczem przy dźwiękach hymnu narodowego wciągnięto na maszt flagę państwową.

Z kolei ks. Kawecki, członek Pogoni, poświęcił ćwiczebne boisko oraz boisko do gier sportowych, a następnie reprezentant Marszałka Polski Edwarda Śmigłego-Rydza, gen. inż. Litwinowicz, jeden z założycieli Pogoni, pierwszy jej skarbnik, odczytał akt nadania boisku klubowemu nazwy Parku Sportowego im. Marszałka Polski Śmigłego-Rydza. Boisko Pogoni, mieszczące się za rogatką Stryjską, jest zaczątkiem wielkiego parku sportowego, który z czasem stanie się niewątpliwie ośrodkiem sportowego Lwowa.

W imieniu miasta Lwowa przemawiał prezydent dr St. Ostrowski, obejmując opiekę nad nowopowstającym ośrodkiem sportowym i wyrażając jednocześnie przekonanie, że młodzież lwowska, ćwicząca na tym boisku, dzielnie będzie maszerować ku potężnej i wielkiej Polsce w myśl wskazań Marsz. Śmigłego-Rydza.

Inż. T. Kuchar, reprezentując Związek Polskich Związków Sportowych, wręczył prezesowi Pogoni dyr. Kozickiemu nagrodę, ufundowaną przez Związek dla „najlepszego i najbardziej zasłużonego polskiego klubu sportowego".

Jubileusz „Pogoni" lwowskiej jest nie tylko uroczystością wewnętrzno-klubową, jest on zarazem świętem sportu kresowego, tego sportu, który tak godnie na wschodnich rubieżach Polski Ją reprezentuje. Należy życzyć sympatycznemu Klubowi, który śmiało może być dumny ze swoich barw klubowych, dalszego, pomyślnego rozwoju i dalszego krzewienia idei prawdziwego sportu.

BILL PATRICK

Komisarz uśmiechnął się.

— Ależ, my dear Mister Thompson, pan naprawdę robi z igły widły! Jakiś tam półgłówek jakieś tam brednie wypisał, a pan chce, bym z tego powodu zaalarmował całą policję nowojorską! Pomieszanie pojęć, drogi panie! Gdyby facet knuł przestępstwo, planował grubszą kradzież, zagrażał ustrojowi...

— Panie Thompson, niech pan zrozumie, że nam nic do tego. Okoliczność prywatna, nie podlegająca ingerencji władz bezpieczeństwa. Są kraje, gdzie samobójstwo jest karane kodeksem. Tam, owszem, można gościa zaaresztować i wlepić mu kilka miesięcy paki za to, że mu życie obrzydło. U nas, w wolnej Ameryce, obywatel może według uznania dysponować sobą. Policjant wkracza tylko post-factum, rozprasza zbiegowisko i spisuje protokół, aby ułatwić pracę urzędnikowi stanu cywilnego i usunąć ewentualne powikłania w postępowaniu spadkowym... ale zapobieganie do jego obowiązków nie należy!

— Nie denerwuj się pan! Gdybym pana od tak dawna nie znał i nie szanował, musiałbym wyciągnąć konsekwencje. Pan nas obraża...

— Ja od samego początku mówiłem, że szkoda na tę rozmowę czasu... Powiedz pan lepiej, ile on panu jest winien, że się pan tak przejmuje... Nic? To już całkowicie przestaję rozumieć. No tak, do widzenia!

•

— Oni mają rację, panie Thompson. Nigdy nie przeceniałem inteligencji czynników administracyjnych naszego pisma, lecz tu muszę im przyznać słuszność; nie sposób umieścić w ogłoszeniu zwrotu „wyszedł w celach samobójczych". Poza tym, taka drobna wzmianka w rubryce „poszukiwania" przejdzie zupełnie bez echa. To było by zmarnowaniem świetnego tematu. Przecież możemy z tego zrobić sensację, nielada sensację! No, nie taką, jak z poszukiwań małego Lindbergha, ale zawsze... Czekaj pan, czekaj pan — coś mi przychodzi do głowy. Tak, to zdaje się doskonała myśl. Wie pan — naprawdę świetny pomysł! Niech pan słucha: zrobimy straszny krzyk z powodu zniknięcia... nie, z powodu śmierci, z powodu śmierci samobójczej tego chłopaka i uczynimy z niej argument w walce z komisją bokserską. Obarczymy odpowiedzialnością za młode życie i tak dalej... Wie pan, demagogicznie, na całego — nareszcie „Observer" odegra się za tamte urzędowe sprostowanie sprzed dwu lat.

— Niech pan nie przerywa! Zatracę wątek rozumowania... A więc będziemy ciskać gromy na komisję. To nawet dobrze się składa: pomoże do rehabilitacji naszego przyjaciela O'Connora. No, oczywiście, będzie musiał tę kampanię wesprzeć finansowo, nie będziemy przecie dla niego za darmo wyciągać kasztanów z ognia... Zrobimy go razem z tym głupim Bill'em ofiarą komisji!

— Nie przerywaj pan, na Boga! Widzi pan, jaki buduję potężny plan... Za takie coś wydawca będzie musiał mi dać podwyżkę! Bezwarunkowo! Tylko, żeby ten Bill wszystkiego nie zepsuł... Bo gdyby idiota się nie powiesił, wszystko by było na nic. Musi się obowiązkowo powiesić, czy tam z czterdziestego piętra skoczyć. Czy pan jest zupełnie pewien, że on to samobójstwo popełni? Czy można mu zaufać?

— Nie, panie Thompson, widzę, że się nie dogadamy. Pan do Sasa, ja do lasa. Ale to wszystko jedno, całą machinę i tak puszczę w ruch. A jeśli Bill się nagle odnajdzie, postaramy się go gdzieś ukryć, jakoś spławić. Wyślemy do Kanady, czy tam do Meksyku... Zawadzałby okropnie. Dziękuję panu bardzo za cenną informację, panie Thompson, będę do śmierci wdzięczny. Mam wrażenie, że stoję u progu wielkiej kariery.

•

Nazajutrz, na pierwszej stronie „Observera", pisma skądinąd zupełnie nie ciekawego, pojawił się długi artykuł, pod intrygującym tytułem: „Niewinne ofiary zbrodniczej sprawiedliwości". Artykuł zaczynał się, jak następuje:

„Wczoraj z domu przy 224-street wyszedł o zmroku młody człowiek, silny, zdrowy, do niedawna tryskający radością życia, kochany i szanowany przez wszystkich, którzy go znali. Wyszedł, by nigdy nie wrócić. Wyszedł, by z rozpaczą w sercu stopy swe umieścić na dnie łodzi Charona, by z własnej woli puścić się w podróż bezkresną po królestwie Plutosa.

Cóż uczyniło, że ta dopiero otwierająca oczy na świat Boży młoda istota, już na progu swej wiosny musiała z życiem się pożegnać? Z całą odpowiedzialnością, z całym przekonaniem twierdzić możemy: owa niemoralna instytucja, przed którą już od szeregu lat przestrzegamy społeczeństwo. Niestety, głos nasz był głosem wołającego na puszczy. Może dziś, w obliczu okropnego losu, jaki z winy kacyków pięściarskich spotkał nieszczęsnego młodzieńca, sumienia mieszkańców naszego miasta zapłoną wreszcie ogniem oburzenia, może wreszcie opinia publiczna zmusi do ustąpienia niepowołanych führerów.

Jaką wymowę tragiczną mają słowa, które na kartce, pozostawionej na biurku, nakreślił denat z prośbą, by dostarczono ją jego opiekunowi i przyjacielowi O'Connorowi:

— Serdeczny mój druhu! Ostatni raz przemawiam do Ciebie. Nie mogę dłużej walczyć z niesprawiedliwością, padam jej ofiarą. Byliśmy przez lata związani dolą i niedolą. Dziś — opuszczam Cię, bo sił mi już brak. Życzę Ci, aby wreszcie prawda wypłynęła, jak oliwa, na górę, abyś mógł wreszcie odeprzeć ohydne zarzuty, które Ci postawili ludzie o nieczystym sumieniu. Sprawiedliwości niech się stanie zadość i niech Cię spotka zasłużona nagroda. Moja zaś krzywda niewinna niech spadnie na głowy zbrodniarzy".

Żaden uczciwy człowiek nie może przejść obojętny około tej sprawy... I my nie przejdziemy. Pismo nasze walczyć będzie aż do zwycięskiego końca, aż do chwili, kiedy zniknie z powierzchni ziemi zgraja bandytów, zatruwająca atmosferę szlachetnego sportu samoobrony".

•

(C. d. n.)

TYDZIEŃ po tygodniu

Rozegrany w Poznaniu międzypaństwowy **mecz zapaśniczy** pomiędzy reprezentacjami **Włoch** i **Polski**, zakończył się wysokim zwycięstwem Włochów 6:1 (według polskiej punktacji 19:5).

Włosi byli znacznie szybsi od Polaków, górowali przy tym znacznie agresywnością, techniką i rutyną.

W wadze koguciej **Bertoli** pokonał w 6 min. przerzutem przez biodro **Rokitę**.

W piórkowej **Gavelli** po zaciętej walce zwyciężył **Marcoka** w 17 min. przez złamanie mostu.

W wadze lekkiej niemniej zaciętą walkę stoczyli **Kuligowski** z **Tozzim**. Wygrał Włoch nieznacznie na punkty.

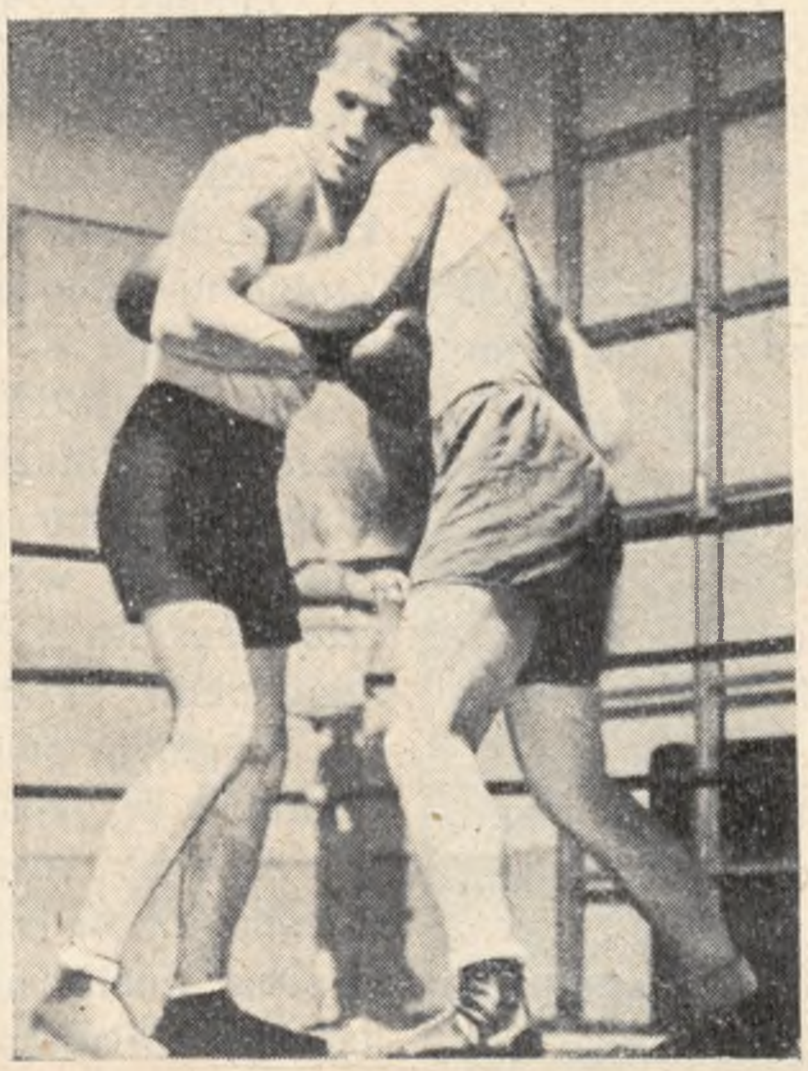
W wadze półśredniej **Szajewski** uzyskał pierwsze i niestety jedyne zwycięstwo dla Polski, bijąc **Rescioschiego** na pkty.

W średniej **Gallegati** wypunktował Bajorka, w półciężkiej doskonały **Silvestri** ułożył w 16 min. na łopatkach **Krysmalskiego**, a **Donati** — **Gwoździa** w 14 min.

•

Reprezentacja piłkarska Polski, zgrupowana w Warszawie na specjalnym obozie, rozegrała treningowe spotkanie z A-klasową drużyną „Czarnych" z Radomia, wygrywając 6:1 (4:1). Bramki dla reprezentacji strzelili Wostal (3), Piontek (2) i Wilimowski, a dla Czarnych — Mazurkiewicz.

•



W „czułym" uścisku.

W Katowicach rozegrany został mecz piłkarski pomiędzy reprezentacjami Śląska Górnego i Śląska Zaolzańskiego, zakończony zwycięstwem Śląska Górnego 6:1 (4:0). Bohaterem meczu był Peterek, który sam strzelił 5 bramek.

•

Reprezentacyjny bokser polski wagi lekkiej Kowalski przegrał w ubiegłą niedzielę z młodym bokserem warszawskim Abramczykiem.

Kowalski znajduje się ostatnio w bardzo słabej formie i podobno zwróci się do PZB z prośbą o niewyznaczanie go przeciwko Niemcom.

•

W towarzyskim meczu piłkarskim **Cracovia** pokonała **Garbarnię 3:2 (2:2).** Bramki dla Cracovii strzelili Zembaczyński, Grünberg i Bartyzel, a dla Garbarni obie Pazurek.

•

Klub sportowy „Polonia" gościć będzie w Warszawie **„Polonię" karwińską,** z okazji Święta Niepodległości. Obie wymienione drużyny rozegrają w niedzielę 13 b. m. towarzyski mecz piłkarski.

•



A może sędzia nie zauważy...



Wostal mija obronę „Czarnych".



Dzień 3 listopada 1938 roku zapisze się w dziejach dziennikarstwa jako data przełomowa.

Czasy, w których biedny dziennikarz musiał „stawać na głowie“, aby tylko zaspokoić wiecznie głodnego nowości czytelnika, należą do bezpowrotnej przeszłości.

Mój Boże! Ileż to pracy wymagał choćby tylko jeden skromny wywiad z niemniej skromnym „mistrzem“, nie mówiąc już o kosztownych wyjazdach na rozmaite wielkie, zwłaszcza zagraniczne, imprezy.

Jakżeż często biedny dziennikarz nie dojadł, nie dospał, zmarzł do szpiku kości lub też tonął we własnym pocie, jak ten nieborak, co to go zamknęli w klatce, gdzie „papugi można było hodować“.

A te szaleńcze sprinty do kabiny telefonicznej — aby tylko prędzej, aby tylko o te kilka minut wcześniej!

Tak, tak — ciężkie to były czasy, ale jak już powiedziałem, nareszcie skończyły się. Raz na zawsze! Nieodwołalnie!

Obecnie rozpoczynamy nową erę! Co tu dużo mówić — nadchodzi złoty wiek — panowie. Pójdą w kąt wszelkie kłopoty o paszporty zagraniczne, wizy i dewizy. W szybkim tempie zaniknie typ „niedostępnego asa“, czy też prezesa. Nie potrzeba bowiem będzie nikogo prosić „o łaskawe udzielenie paru słów“ — sami wszystko wyśpiewają! Nie potrzeba będzie późnymi nocami warować przy aparacie radiowym, aby spośród szumu i trzasku wyłowić wynik sensacyjnego meczu w Chicago lub Sydney. Słowem — przewrót, rewolucja! Słowem — żyć i nie umierać!

A najważniejsze, że pierwszy krok został zrobiony.

Stało się to właśnie tego historycznego dnia 3 listopada 1938, gdy w nr 44 tygodnika „Raz, dwa, trzy“ ukazała się piękna korespondencja jednego z bardziej znanych dziennikarzy z dalekiego Wilna pt. „Blum i Lendzin zwyciężają w Rydze“. Artykuł ten datowany jest „Ryga w końcu października“.

I pomyśleć tylko, że o mały włos wszystko byłoby pozostało po staremu, gdyby nie drobny, a jakże szczęśliwy fakt, że akurat w tym czasie, gdy odbywał się turniej ryski — autor wspomnianego artykułu bawił w Krakowie i Wilnie.

Doprawdy — cóż za niebywałej potrzeba skromności i pokory ducha, aby w tak ważnym, tak niebywałym momencie zamknąć się dyskretnie w czterech ścianach, zamiast np. urządzić publiczny pokaz tego jedynego w swoim rodzaju, fenomenalnego wypadku rozdwojenia jaźni.

Byłoby to znakomicie popchnęło całą sprawę naprzód.

Moim jednak zdaniem, sprawa jest zbyt wielkiej wagi i dlatego — może nawet wbrew woli skromnego i cichego wynalazcy — uważam za swój obowiązek zwrócić na nią uwagę wszystkich zainteresowanych.

No, bo po cóż u licha stosować przestarzałe (do dnia 3.X.38) metody, po cóż tracić zdrowie, czas i pieniądze — skoro w samej tylko stolicy mamy kilkuset „genialnych jasnowidzących“?

Po prostu zaangażować sobie za skromną opłatą jakiegoś Szwindler-Szkodnika, delikatnie ułożyć go na tapczanie, samemu (szlafrok, papierosy, mokka, pióro), usadowić się w wygodnym fotelu — zaczekać, aż „genialny wybraniec losu“ zaśnie i jazda w świat!

Chwila ciszy... Uwaga — zaczynamy! New York. Mecz Louis — Schmelling. Zanim w Berlinie udowodnią czarno na białym (ekranie), że murzyn fatalnie sfaulował Wielkiego Maxa — my już bijemy dodatek nadzwyczajny.

Zamiast wywiadu z jakimś domowego chowu Louisem — posyłamy za nim ciało astralne naszego medium i pierwsi na świecie znamy głęboką prawdę, że np. klub X potrafi wprawdzie odkryć rzetelny talent oraz zapewnić mu doskonałą opiekę, ale, niestety — tylko w ciągu 2 lat. Dalej już — ani rusz. Zrobić to natomiast może — naturalnie tylko dla dobra sportu amatorskiego — wyłącznie klub Y.

A reportaże retrospektywne! Np. sensacyjne zwycięstwo przez k. o. muchy Dawida nad „filistyńskim bombardierem“ Goliatem. Albo pierwszy lot transatlantycki greckiego pilota Ikara. Albo wywiad z pierwszym maratończykiem świata, członkiem KS „Persobij“ niejakim Phillipidesem. Szlagier za szlagierem! Przebój za przebojem!

Mógłbym snuć dalej tę czarowną wizję, sądzę jednak, że te drobne przykłady przekonały najgorszych sceptyków.

A więc rozpoczynamy nową erę! Nareszcie i biedny dziennikarz będzie wiódł „życie ułatwione“. Zasłużył na to. (Za ewentualne nieścisłości odpowiada naturalnie medium, jako naoczny świadek imprezy).

Teraz czekamy tylko na dalszych pionierów nowego rodzaju twórczości — „medialno-sportowych reportaży“.

W. Dobrowolski.

•

Redaktor pewnego pisma sportowego przeprowadził niesłychanie interesujący wywiad z Marianem Zającem.

Co do błyskawiczno-amerykańskiej kariery Zająca, o której autor wyraża się z niekłamanym podziwem, to warto zwrócić uwagę, że ludzie, którzy się chociaż trochę orientowali w sprawach narciarskich, słyszeli o Zającu już od dosyć dawna.

Następny zarzut dotyczy treningu. Nonsensem jest twierdzić, że Zając **po jednym lub dwóch treningach** w Spadowcu może stawać do każdych zawodów. Jeśli to mówił, musiał być nieprzytomnie zapatrzony w Staszkę Marusarzównę, która zresztą istnieje tylko w wyobraźni autora „wywiadu“. Gdyby nawet nie była **iluzją**, to pewna dyskrecja byłaby wskazana, ze względu na to, że Zając jest w szkole, a dyrektor szkoły, o ile wiadomo, nie pochwala romansów tego rodzaju. Niedelikatność jest ze wszechmiar godna potępienia.

A teraz zabawna historyjka. Podobno sucha zaprawa nieszczęsnego tego narciarza polega na skjöringu za samochodem, w tempie 70—80 km na godzinę. Należy przy tym pamiętać, że zaprawa jest **„sucha“**, a więc o nartach nie ma mowy.

Szkoda Maniusia. Musi biedaczyna, przywiązany sznurkiem do samochodu, gnać za nim opętanym gazem na piechotę. Nic zatem dziwnego, że jego **„kolana pracują, jakby ktoś przez nie prąd elektryczny puścił“**. A potem wszyscy są zdumieni, że polscy narciarze źle jeżdżą!

Tak, tak! Robienie wywiadów nie jest takie proste, jakby się to na pierwszy rzut oka mogło wydawać.

T. Domaniewski.

CO robią inni?

Szwajcarzy mieli sporo powodów do zdenerwowania. Z chwilą, gdy zabrali się na dobre do przygotowań **mistrzostw świata w hokeju na lodzie,** gdy wpakowali sporo wysiłku i... pieniędzy, Międzynarodowa Liga Hokejowa przypomniała sobie, że wobec przydzielenia Szwajcarii zimowych Igrzysk Olimpijskich r. 1940, nie jest w porządku, by kraj ten organizował pod rząd dwa mistrzostwa świata w sporcie kanadyjskim.

Stanowisko to dałoby się rzeczowo uzasadnić, sęk jednak w tym, że panowie z Ligi rozmyślili się zbyt późno, a poza tym wywietrzało im zdaje się z głowy, jak doszło w ogóle do przyznania Szwajcarii tegorocznych mistrzostw.

Szwajcaria zrobiła właściwie Lidze uprzejmość z chwilą gdy zrezygnowała Szwecja i wyrzekła się trudów Polska.

Na szczęście w porę jeszcze nastąpiło otrzeźwienie i osławiony prezes Loicq zawiadomił Zurych, że wszystko jest w porządku, można pracować dalej i liczyć na łaskawą gościnę dostojnych dygnitarzy Ligi w lutym.

•

W Anglii funkcjonuje z niemałym powodzeniem **totalizator piłkarski.** Daje on szanse zdobycia nawet wcale pokaźnej fortuny. Ostatnio przydarzyło się to bezrobotnemu kelnerowi, który wygrał nie mniej niż 12.000 funtów, co równa się około 300.000 zł!

Szczęśliwy zdobywca premii urządził z miejsca herbatkę dla 170 niezamożnych dzieci, obdarował je łakociami i przysmakami, nie zapominając też o skromnych podarkach dla swych najbliższych uboższych sąsiadów.

•

Mecz Anglii z Kontynentem nie spełnił nadziei nie tylko pod względem sportowym ale i... kasowym. Zamiast 70.000 stawiło się na widowni zaledwie 40,189 widzów i do kasy wpłynęło tylko 7.000 funtów (ok. 180.000 zł).

Na bankiecie zebrało się 400 osób, wygłoszono ze trzy tuziny mów. Nie obeszło się naturalnie bez cyklu hymnów państwowych i gremialnego odśpiewania „God save the king".

Na bankiecie zjawił się też Mr. Kinnon z Glasgow, ostatni z żyjących uczestników pierwszego meczu Anglia — Szkocja. Były też akcenty polityczne, gdyż lord Mottistones w mowie swej wyraził się, „nie znamy lepszego sędziego, niż naszego Chamberlaina".

Prezydent FIFA p. Rimet wręczył prezydentowi Federacji Angielskiej mr. Pickfordowi Legię Honorową w imieniu rządu francuskiego.

•

Amerykanie są specjalistami w statystyce. Stwierdzili oni, że w ostatnim roku 643 pilotów skoczyło z samolotu ze spadochronem. Przyczyny były następujące: w 73 wypadkach pilot twierdził, że stracił panowanie nad sterem, w 108 wypadkach przyczyną było zderzenie z drugim samolotem, co przy lotach wojskowych zawsze jest możliwe. Złamania skrzydeł względnie innych ważnych części samolotu zadecydowały w 111 wypadkach, 92 razy zawiódł motor, 46 razy powstał na pokładzie pożar, w 34 wypadkach pilot podał jako motyw skoku to, że rzekomo zaatakowany został przez orła.

•

Zbliża się okres najmniej przyjemny. Wykańczają się sporty letnie, a zimowych ani śladu. Tzn. — ani śladu u nas. Za granicą meldują już o pierwszych **bojach hokejowych.** Ba, w Hadze odbył się nawet mecz międzymiastowy, w którym Berlin zremisował ze stolicą Holandii 2:2. W Berlinie inauguracja sezonu z wielkim programem, nie inaczej w Wiedniu, który pozostaje wierny swej specjalności — jeździe figurowej.

U nas na razie cicho. Tor katowicki jest wprawdzie w ostrym pogotowiu, ale reszta czekać będzie na dobroczynny mróz. Jedno, co nas pociesza to — **nowonarodzona liga hokejowa.** Nie mamy się już czego martwić, hokej pójdzie na pewno w górę. Jakże by było inaczej, gdy jeden dekret PZHL stworzył przez noc kilkudziesięciu ekstraklasowych hokeistów.

•

Zanim przeniesiemy się całkowicie na lód i narciarskie szlaki, rzućmy jeszcze prędko okiem na uciekający sezon lekkoatletyczny.

Bilans fińskiej lekkiej atletyki jest doprawdy zachwycający. Siłą Finów są jak zwykle długie dystanse. 33 przebiegło 3000 m poniżej 9 min., 17 zawodników przebiegło 5 km poniżej 15 min., 31 poniżej 33 min. na 10 km. Do maratonu zabiorą się Finowie na ostro w roku przyszłym. W 800-metrówce Finowie nie zachwycają, jednak nie byłoby tak źle, gdybyśmy w Polsce naliczyć mogli 39 halfmilerów, biegnących poniżej 2 min.



Książe Kentu wita się z drużyną Kontynentu.

Fiński Związek zorganizował w ub. sezonie 189 zawodów, z tego 129 o charakterze krajowym, 27 międzynarodowych, 2 spotkania międzypaństwowe, 6 mistrzostw okręgowych, 6 spotkań klubowych, 4 mistrzostwa narodowe, 6 walk międzyokręgowych. 129 zawodników reprezentowało Suomi w 22 różnych krajach.

•

...Niech tam w całym świecie wojna, byle...

W Azji leje się krew. Armia japońska stoi w ciężkiej walce na ziemi chińskiej, co nie przeszkadza sportowcom organizować swe zawody i występować w nich, o ile w danej chwili nie są poważniej zaangażowani pod Hankau, czy na innym odcinku.

Mistrzostwa kraju wschodzącego słońca odbyły się znów w Tokio. Najszybszym biegaczem Japonii pozostał nadal Yoshioka, który przebiegł 100 m w czasie 10,4. W dwu setkach nie miał szczęścia. Tytuł przypadł rywalowi Taniguszi w 21,5.

Tytuły zdobyli dalej: 400 m Satos 50,8, 800 m 1:58,7; 1500 m Mjagagi 4:10,4; maraton Kabazawa 2:45,29 godz.; 110 płotki Murakami 15,3, 400 płotki Oda 56,6. 5000 i 10000 stało się łupem popularnego Murakoso, który tak wspaniale walczył w Berlinie z koalicją fińską. Wygrał on w czasie 15:12,2 i 31:38,4.

Domeną Japończyków są skoki. Oe przeszedł 4,20 o tyczce i jest nadal groźnym konkurentem Amerykanów, Harada osiągnął w dal 7,45. Najlepszy wynik uzyskał nowy mistrz w trójskoku Kin 15,45. Dzięki temu Japończyk zajmuje w liście światowej drugie miejsce po Metcalfie.

Gorzej było z rzutami. W kuli wynik brzmiał 13 m, w dysku 40 m, a w oszczepie 57 m.

•

Pisaliśmy już kiedyś o najnowszej pasji Amerykan, którzy **odkryli nagle narciarstwo** i ze zwykłym temperamentem rzucili się do jego eksploatacji. Punktem zwrotnym stały się Igrzyska w Lake Placid. Pomysłowi impresario „zasmakowali“ w skokach i Nowy Jork zachwycał się przez całą zimę popisami skoczków norweskich i szwedzkich, nota bene na... sztucznych skoczniach.

Garmisch Partenkirchen wprowadziło Amerykan na szlaki zjazdowe, tak, że nic już nie stało na przeszkodzie w rozbudowie normalnego ruchu narciarskiego. Interes wyczuły przede wszystkim towarzystwa kolejowe. Przyszła więc passa na ekspresy narciarskie z Bostonu do Białych Gór, naturalnie ze zwykłym w Ameryce szykiem i wygodami. W pociągach narciarskich można nie tylko dobrze zjeść, wygodnie się przespać i potańczyć, ale brać lekcje w woskowaniu nart.

Równolegle poszły poszukiwania odpowiednich terenów. Odkryto je w Rocky Mountains, w Kolorado, w Idaho, w Sierra Nevada. Znalazły się piękne zjazdy z wysokości 4000 m. Samo odkrycie nie wystarczało. Trzeba było w bezludziu stworzyć osiedla zimowych sportów. Towarzystwo kolejowe Union Pacific rzuciło np. **milion dolarów** na rozbudowę amerykańskiego St. Moritz — Sun Valley w Idaho! Setki tysięcy wydano na reklamę i propagandę, którą poparły wielkie domy towarowe, rzucając na rynek artykuły zimowego sportu.

Obecnie obliczają **ilość narciarzy w USA na pół miliona,** z czego 100.000 zorganizowanych jest w 250 specjalnych klubach.

W narciarstwie weszła Ameryka obecnie w drugą fazę. W pierwszym etapie zachwycano się ewolucjami obcych mistrzów, dziś zakasano rękawy, zabierając się samemu do pracy. Za dwa lata na zawodach FIS wystąpi już Ameryka w pełnym komplecie, a wedle ostatnich wiadomości **szykuje się już nawet ekspedycja do Zakopanego.** Obsadzi ona wszystkie konkurencje poza narciarskim maratonem.

•

Zmiany, jakie zaszły w Czechosłowacji, dotknęły w silnej mierze również i sport. Ok. 20—30.000 piłkarzy znajduje się poza dotychczasowym Związkiem Czechosłowackim przechodząc do Polski bądź też do Niemiec lub Węgier. Wśród nich nie ma jednak żadnego wybitniejszego gracza. Inaczej ma się sprawa w tenisie, który traci na rzecz Niemiec przede wszystkim Menzla a dalej panią Hein-Müller z Karlsbadu.

Narciarze czescy stracili doskonałe tereny w Sudetach i zmuszeni będą działalność swą ograniczyć obecnie do Tatr.

•

Drużyną prawdziwych podróżników jest, a raczej była, kombinowana drużyna amatorska, która pod nazwą „Islington Corinthians“ (z Londynu) przez dziewięć miesięcy żeglowania dookoła ziemi. W tym czasie rozegrała ona 95 gier, wygrywając 88. Po powrocie z miejsca się rozpadła, kilku graczy przeszło do obozu zawodowców.

•

Sensacyjny rekord Nikkanena w oszczepie padł w zgoła nieoczekiwanych warunkach. Nikkanen nie myślał w ogóle o starcie, a cóż dopiero o rekordzie światowym. Próbę pobicia go zgłosił starszy rywal jego Matti Järvinen, który specjalnie do tego trenował.

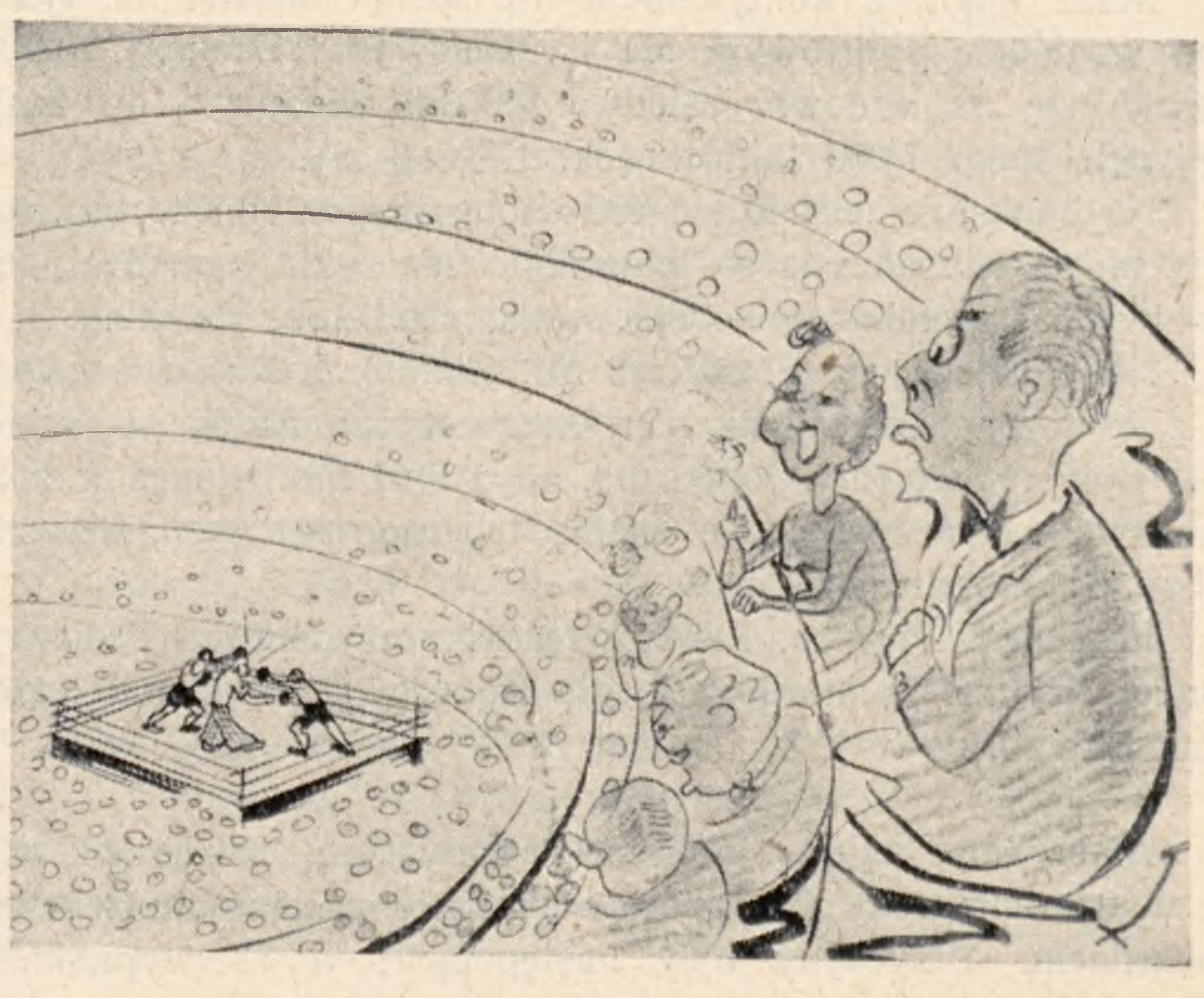
Cały tydzień przed zawodami lał deszcz, tak, że rozbieg byłŁ zupełnie rozmokły i dla osuszenia go spalono wiele litrów benzyny. Dzień był pogodny, tylko 6 stopni ciepła, wiatr korzystny. Gdy Järvinen stawał do próby, obecnych było 1700 osób, w ostatniej niemal chwili zjawił się Nikkanen, który przerwał już właściwy trening i dopiero na wiadomość o zamiarach rywala ponowił ćwiczenia gimnastyczne. Nie wierzył on w dobry rezultat, gdyż forma jego była raczej średnia.

Matti rzucał pierwszy i osiągnął 69,30. Po nim ruszył Nikkanen. Rozbieg był sprężysty, kroki pewne i elastyczne, wyrzut potężny, praca ramion i tułowia doskonale skoordynowana. Wynik: 78,70. m. Wysiłek był zbyt wielki, toteż następne rzuty były znacznie gorsze: 60 m, 61.50, 65,68, 69,80. Järvinen był tak zdeprymowany, że rzuty zupełnie mu się nie udawały. Najlepsze były: 67, 68,50, 66, 66,50 i 69,32.

•

Dwukrotny triumfator Igrzysk olimpijskich Volmari Isohollo zmuszony był ograniczyć swą działalność sportową z powodu kontuzji kolana. Jak słychać przeniesie on się do Berlina, gdzie otrzyma posadę w banku a równocześnie trenować będzie niemieckich biegaczy.

HUMOR



— Mężulku! Dlaczego sędziowie nie każą usunąć tego pana, który przeszkadza im bić się?

Redakcja, tel. 8-63-66 i Administracja, tel. 9-95-62, Warszawa, ul. Myśliwiecka 3

Prenumerata roczna — 12 zł, dla klubów zrzeszonych w Zw. Pol. Zw. Sport. — 10 zł, kwartalna — 3 zł, miesięczna — 1 zł.
Pocztowe konto rozrachunkowe Nr 118 **Konto P. K. O. 13680**

Ogłoszenia: przed tekstem 1/1 300 zł, 1/2 150 zł, 1/4 80 zł, 1/8 50 zł. Za tekstem 1/1 250 zł. 1/2 130 zł, 1/4 75 zł, 1/8 40 zł.

Redaktor przyjmuje od 13 — 15.

REDAKTOR: WIKTOR JUNOSZA-DĄBROWSKI WYDAWCA: „KULTURA FIZYCZNA“ sp. z ogr. odp.

Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA“ W-wa, Sienna 15, tel. 675-93